Stron 8 WALKA ŚWIATÓW. - SANTA ROSA DE LIMA Cena 1 sh

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

Rok IV. Londyn, niedziela 12 listopada 1950 Nr. 46 (177)

ŻYCIE I DZIEŁO WACŁAWA BOROWEGO

ZNANE powiedzenie Mickiewicza, że „trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę", można zakwestionować, gdy mówimy o życiu i dziele niedawno zmarłego Wacława Borowego. Bo jeżeli życie uczonego ma polegać na dobrym, zgodnym z jego powołaniem, przeżyciu dnia pracowitego z myślą o nowej księdze — to trzeba to wyraźnie stwierdzić — Borowy tej prawdzie etycznej zadość uczynił w pełni.

I jeszcze jedna uwaga wstępna. Mówi się utartym zwyczajem, gdy ktoś wybitny od nas odchodzi, że jest to strata niepowetowana. Ta wyraźna przesada, bo w większości wypadków nie ma ludzi niezastąpionych, a są powołani i niepowołani, nie jest przesadą w wypadku Borowego i nie da się odrzucić.

Ten bowiem zespół cech naukowych i pisarskich, które reprezentował Borowy w literaturze polskiej, nie powtarza się zbyt często w jednej indywidualności autorskiej. Ta iskra boża, co opromieniała każde jego dzieło, każdy szkic, każdy artykuł nawet, wyróżnia go wśród zespołu historyków literatury i krytyków polskich.

I

Wacława Borowego poznałem przed trzydziestu blisko laty. Uderzył mnie swoją postacią, która tak dziwnie harmonizowała z jego światem wewnętrznym, z jego indywidualnością duchową. Delikatnej budowy, wytworny, opanowany, z miłym i nieco ironicznym uśmiechem na twarzy, czynił wrażenie nieco zażenowanego i nieśmiałego. Jakaś prostota i wdzięk biły z tego człowieka.

Gdy badamy jego dzieło, tak naprawdę przedwcześnie zamknięte, uderza nas właśnie owa zgodność zewnętrznej postaci z treścią wewnętrzną, z myślą, uczuciem i całością postawy duchowej człowieka.

Chciałoby się powiedzieć, znowuż w myśl Mickiewiczowskiej sentencji, że był to człowiek pełny, w którym harmonia cech zewnętrznych i wewnętrznych osiągnęła nie byle jakie zwycięstwo.

Urodzony w r. 1890, studiował literaturę na uniwersytecie Jagiellońskim i był uczniem profesorów Tarnowskiego, Chrzanowskiego i Windakiewicza. Szkoła nie byle jaka, skoro się uwzględni, że te trzy nazwiska, z nierównym szczęściem i nie zawsze sprawiedliwą oceną, jaśnieją na kartach historii literatury i krytyki polskiej. Formalnie już uczeń Chrzanowskiego, Borowy, zdaniem moim, zawdzięcza nie mniej Windakiewiczowi, którego rozgłos dwuch innych jakby usunął w cień.

Borowy unikał tzw. kariery profesorskiej. Przed tym, nim go wreszcie namówiono do objęcia katedry, był urzędnikiem państwowym na stanowisku referenta literatury w departamencie sztuki i kultury Ministerstwa W.R. i O.P. Był też przez długi czas, przed i po opuszczeniu tego stanowiska, bibliotekarzem uniwersyteckim. Praca organizatorska musiała Borowego w pewnej mierze pociągać, bo niebawem widzimy go na stanowisku pierwszego redaktora, a więc i organizatora tak świetnego miesięcznika, jakim był „Przegląd Warszawski". Jeśli mnie pamięć nie myli, miesięcznik ten powstał jako spadkobierca „Pamiętnika Warszawskiego", kwartalnika redagowanego przez Wacława Berenta. Borowy okazał się świetnym redaktorem i „Przegląd Warszawski" uzyskał wielką pozycję w życiu intelektualnym Polski.

Po długich namowach Borowy objął katedrę historii i literatury polskiej na Uniwersytecie Warszawskim. Uprzednio odbył podróż zagraniczną w celach naukowych i dłuższy czas spędził w Londynie. Pobyt tutaj na studiach anglistycznych uwiecznił szeregiem studiów i przyczynków do stosunków kulturalnych polsko-angielskich z monografią o Chestertonie na czele.

W latach trzydziestych zdobył za swą twórczość krytyczno-literacką nagrodę wydawców polskich. Rzecz znamienna: wydawcy nagrodzili trzech krytyków jednocześnie: Irzykowskiego, Boya-Żeleńskiego i Borowego. Przez wybór swój wydawcy dowiedli, że potrafili ocenić oryginalny wkład do tej dziedziny z pogranicza nauki i literatury trzech wybitnych krytyków.

Wiele ze znawcy wysokiej klasy i trochę z organizatora dał Borowy w swojej antologii poezji polskiej p. t. „od Kochanowskiego do Staffa" (1930). Brał też udział w przygotowaniu tekstów Mickiewicza do Sejmowego wydania dzieł poety.

II

Borowy debiutował na polu historii literatury polskiej rozprawą doktorską o Ign. Chodźce („artyzm i umysłowość") w r. 1914. Mówimy o rozprawie, a myślimy o świetnej monografii całego okresu kulturalnego, bowiem połowę książki Borowego o Chodźce stanowiły dygresje i ekskursje, wydrukowane poza tekstem głównym, a stanowiące monografię literacko - kulturalną całego okresu. Z miejsca Borowy pokazał dużą wiedzę ujawnił wysokiej klasy warsztat krytyczno-naukowy. Cechą trzecią, wyróżniającą książkę, była duża klasa pisarska, przejrzystość myśli badawczej.

W dalszych latach napisał szereg rozpraw naukowo-literackich, wśród których wyróżnić należy: „Łazienki a Noc Listopadowa Wyspiańskiego" (1918), „Bronisław Chlebowski" (1919), doskonałe studium o jednym z najświetniejszych umysłów krytycznych i pisarzy polskich, „Wisła w poezji polskiej" i komentarz do trzeciej części „Dziadów" w wydawnictwie „Wielka Biblioteka" (1920).

Po raz drugi zabłysnął niezwykły talent Borowego w książce „Ze studiów nad Fredrą". Do krańcowych sądów o sztuce komediopisarskiej Fredry, do wachlarza pojęć i opinii od Tarnowskiego i Chrzanowskiego [illegible] skiego i Boya Żeleńskiego, wniósł umiar oceny i krytycyzmu, dając między innymi swego rodzaju arcydzieło o bajeczce „Paweł i Gaweł". Jak nikt przed nim, a mało kto po nim, ocenił artyzm Fredrowski.

Trzecią niezapomnianą pozycją w jego dorobku naukowym jest książka p.t. „O wpływach i zależnościach w literaturze". Do tej zabagnionej dziedziny zewnętrznego przyczynkarstwa przez poszukiwanie formalistyczne wątków i nic nie znaczących drobiazgów, wniósł daleką od ściśle formalistycznej i powierzchownej spostrzegawczości podobieństw, postawę badawczą własną, postawę wykrywania ducha i treści prądów i rodzajów literackich i szerokiego traktowania t. zw. wpływologii, bez wyliczania drobnych przypadkowych pokrewieństw, od czego nie ustrzegł się nawet mistrz Borowego St. Windakiewicz.

Pracowitość Borowego — owe dobrze przeżyte dnie uczonego, co pisze księgi — dają krytyce polskiej tak przednie pozycje naukowe, jak studia o Gomulickim, Żeromskim, Kasprowiczu, Langem z literatury nowszej, a o Kochanowskim z literatury dawniejszej i wiele innych. Studia te zostały zebrane w pięknym tomie p.t. „Kamienne rękawiczki" (tytuł od rozprawy, otwierającej książkę o Kochanowskim w nawiązaniu do popiersia autora „Trenów", zdobiącego zbiorowe wydanie dzieł).

Szerokość horyzontów i znawstwo literatury francuskiej ujawnił raz jeszcze Borowy w swoim studium o „Boyu jako tłumaczu". Tu też unaocznił jakim ma być tłumacz współczesny i czego po nim spodziewamy się. Przyznał też Boyowi dar kongenialności w przyswajaniu literatury francuskiej literaturze polskiej. Sam wreszcie wykazał świetną znajomość literatury francuskiej.

MIĘDZYNARODOWY KONGRES MARIOLOGICZNY

W dniu 23 października rozpoczął się w Rzymie Międzynarodowy Kongres Mariologiczny, jak gdyby wstęp do uroczystego ogłoszenia dogmatu Wniebowzięcia N. Marii Panny.

Otwarcie Kongresu miało miejsce w sali Ateneum Laterańskiego przy udziale kilku tysięcy księży, zakonników i świeckich w formie bardzo uroczystej. Obecni byli Kardynałowie: Pizzardo, który otwarcia dokonał, Tisserant, Micara, Aloisi Masella i Piazza, Patriarcha Jerozolimy Mons. Gori, Delegat Apostolski w Kanadzie Mons. Antoniutti i wielu Biskupów oraz Jenerałów Zakonów. Przy stole prezydialnym zasiedli ponadto O. Perantoni, Minister Generalny OO. Franciszkanów i O. Balić, OFM, organizator Kongresu.

W mowie swojej Kardynał Pizzardo dał historię wiary w fakt Wniebowzięcia N. M. Panny. oraz podkreślił doniosłość dogmatu dla całego świata katolickiego. Po przemówieniu O. Balić'a, który przedstawił program Kongresu, zabierali po kolei głos ambasadorowie: Polski, Chile, Włoch, Francji, Hiszpanii, Peru, Kuby, Kolumbii i Argentyny, by powitać Kongres w imieniu swoich narodów. (Polski tekst przemówienia Ambasadora R.P. przy Stolicy Apostolskiej, Kazimierza Papée, podajemy niżej).

Po referacie prof. Philipsa na temat „Przeznaczenia N. M. Panny". Kongres kontynuował prace przez cały tydzień w szeregu komisji narodowych i zakonnych. W pracach Kongresu brało udział 20 narodów, mówiących 13 językami; około 300 mówców było zapowiedzianych

Prace sekcji polskiej rozpoczęły się w dniu 24 bm. pod przewodnictwem O. Wojciecha Turowskiego, Generała Zakonu OO. Pallotynów. Zapowiedziane są referaty O. prof. Krupy z Lublina (przez zastępcę), O. Kucharskiego TJ i inne.

PRZEMÓWIENIE AMBASADORA R.P. PRZY WATYKANIE

Eminencje, Ekselencje,
Wielebni Księża, Ojcowie,
Panie i Panowie.

ZABIERAJĄC wobec tego świetnego grona głos w Imieniu Polski, by gorąco powitać Międzynarodowy Kongres Mariologiczny i złożyć najlepsze życzenia dla jego tak ważnych prac, nie mogę nie wspomnieć o głosie znacznie bardziej kompetentnym niż moje słowa, głosie zbiorowym: jest to głos Episkopatu polskiego; dzięki niemu nie przemawiam dziś w moim tylko imieniu.

Synod Polski, zebrany 27. VIII. 1936 r. w Częstochowie, pod przewodnictwem Kardynała Marmaggi, Legata Papieskiego, zwrócił się do Piusa XI prosząc Go o ogłoszenie dogmatu Wniebowzięcia w słowach, które pozwolę sobie przytoczyć:

Gdy tylko w naszych ziemiach zabłysła tajemnica Krzyża, w duszach mieszkańców we wsiach i grodach, które z żywą miłością przyjmowały Najśw. Pannę, zakwitło, na podstawie czcigodnej tradycji, nabożeństwo do Najśw. Wniebowziętej Bogarodzicy. Na skutek tego, nie tylko pierwszy w Polsce kościół arcybiskupi gnieźnieński został w roku 1000 poświęcony Najśw. Pannie Wniebowziętej, lecz również wiele innych, dawnych i nowych kościołów tym tytułem się szczyci. Żadne klęski ani przeciwności nie osłabiły naszej czci dla Najświętszej Królowej Nieba i Ziemi, czego dowodem dzieje Jasnej Góry, sława tylu wieków pomyślności, smutny okres wolności utraconej, radosny świt niepodległości odzyskanej za pomocą Opatrzności Bożej a przede wszystkim wspaniałe zwycięstwo nad zastępami groźnych nieprzyjaciół, odniesione w samym dniu Święta Wniebowzięcia Najśw. Marii Panny w roku 1920. Rzeczpospolita była w największych trudnościach, w strasznym niebezpieczeństwie: za orędownictwem Wniebowziętej Bogarodzicy wojska chrześcijańskie pobiły wtedy nad Wisłą armie bezbożnych nieprzyjaciół. Wasza Świątobliwość była tego cudu świadkiem dobrowolnym i najbardziej czcigodnym.

Wasze Eminencje Ekselencje,
Wielebni Księża, Panowie!

Zacytowałem słowa zwrócone do Papieża od Synodu Polskiego, na czele którego był Kardynał Legat Marmaggi, Kardynał Hlond, Prymas Polski Arcybiskup Gnieźnieński, Kardynał Kakowski, Arcybiskup Warszawski, gdzie było 43 innych Arcybiskupów i Biskupów Polski, 22-ch Przełożonych Zakonnych, 8 Delegatów Uniwersytetów, Delegaci Kapituł i wielu innych. Było to zaledwie 14 lat temu.

Potem, Delegaci Wydziałów Teologicznych Uniwersytetów Krakowskiego, Wileńskiego, Lwowskiego, Warszawskiego, Poznańskiego i Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, skierowali 26 września 1946 r. do Ojca św. prośbę o ogłoszenie Wniebowzięcia N. M. Panny dogmatem.

Dziś, nikt z Biskupów Diecezjalnych Polskich nie zapowiedział swego przybycia na ogłoszenie — nie oczekujemy nikogo z 25 milionów katolików polskich, którzy cierpią prześladowanie. Obawiamy się, że ich nie będzie na uroczystościach, w których dane nam jest wziąć udział. Polska świeciłaby nieobecnością na wielkim Święcie Patronki i Królowej, gdyby nie katolicy polscy za granicą z Biskupem Gawliną na czele.

Im bardziej odczuwamy nieobecność cielesną naszych braci, tym bardziej czujemy się złączeni z nimi w duchu, w modlitwie, we wspólnym nabożeństwie do Najśw. Panny i Jej Wniebowzięcia. Jestem szczęśliwy i dumny, że mogę podnieść głos w ich imieniu, w serdecznej łączności z wszystkimi katolikami obecnie uciśnionych narodów, którzy przedstawiają prawie jedną trzecią katolików Europy. Wznoszę ten głos, by złożyć u stóp tronu Następcy św. Piotra, Zastępcy Chrystusa, hołd ich wdzięczności za ogłoszenie jako dogmatu naszej wiary tego, w co — według słów teologów polskich — wszyscy jednomyślnie wierzymy". „...id quod omnes unanimi confitemur".

III

Tę samą, jeśli nie znacznie większą, znajomość literatury angielskiej wykazał Borowy w dziełach własnych. Wszyscy znamy jego monografię Chestertona, która stanowi wysokiej klasy pozycję nie tylko w polskiej literaturze krytycznej. Ale czy wszyscy zwrócili uwagę na tysiące znakomitych uwag Borowego o pisarzach angielskich rozrzuconych po wszystkich jego pracach polonistycznych, zaczynając od monografii o Chodźce, a kończąc na „Poezji polskiej w w. XVIII". Ta metoda porównawcza traktowania wykładu o literaturze polskiej na tle i obok literatury światowej, choćby tylko w marginesowych uwagach, ripostach i dygresjach, stanowi bardzo charakterystyczny rys umysłowości naszego badacza.

Książka o Chestertonie, napisana z dużym wdziękiem i znajomością, dającą swobodę narracji, przesłoniła inne jego prace z anglistyki, lub z pogranicza stosunków kulturalnych polsko-angielskich. A jest tam sporo rzeczy poważnych, o wielkiej wartości naukowo-poznawczej i historycznej, więc przede wszystkim studium o „Tragizmie szekspirowskim". Dalej; „Fifteen years of Polish Literature (1918 — 33) w „Slavonic Review" (1934). „English visitors to Prussia, Lithuania and Poland in the XIV Century" (1936), „The Genius of Poland" (w „Studio" Nr. 493, Londyn, 1934). „Early Anglo-Polish Relations" (w „Baltic Countries" Nr. 1, Toruń, 1935), „General Observations on the Problem of Reparation with Regard to Art and Culture" (Warszawa, 1945), „Anglo-Polonica" (Tow. Naukowe Warszawskie, 1946) i wiele innych. To były owoce studiów londyńskich. Ale raz jeszcze powtórzmy — owoce marginesowe niejako, bo Wacław Borowy niezależnie od pobytu naukowego w Wielkiej Brytanii, był świetnym znawcą literatury angielskiej Jest też współautorem „The Cambridge History of Poland"

IV

Narobiła swego czasu wiele hałasu i wywołała sensację literacką sztuka Żeromskiego, „Uciekła mi przepióreczka". Fakt, że romansopisarz tej klasy, co Żeromski, piewca epopei powstańczej i autor bohaterskich poematów i dramatów jak „Duma o hetmanie", napisał rzekomo pogodną komedię, wywołał mnóstwo artykułów i dyskusji, w których nie było wiele ładu i składu. Odezwał się i Borowy. W zwięzłym, klasycznie zbudowanym szkicu, zdaje się p.t. „O skrzydłach przepióreczki" wyłożył ideę tej sztuki, jej budowę i artyzm. Dał arcydziełko równe innemu szkicowi o bajce „Paweł i Gaweł". Właściwa wszystkim pokusa generalizowania mogłaby nasunąć myśl, że Borowy był mistrzem w koncepcjach drobniejszych, tematycznie zacieśnionych do określonej kwestji czy zagadnienia. Nic fałszywszego niż tego rodzaju uogólnienie.

Wydane przed dwoma laty przez Akademię Umiejętności, której był członkiem, wykłady uniwersyteckie Borowego z lat 1938 — 9, p.t. „O poezji polskiej w w. XVIII" (Kraków, 1948, str. 398), świadczą, że w wielkiej kompozycji, nie nadającej się w tym wypadku do specjalnie wdzięcznej konstrukcji, potrafił zostać dobrym architektem literackim wyczuwającym właściwe proporcje i całość budowy.

Dając obraz poezji polskiej w tym niewdzięcznym dla poezji wieku, dokonał rewelacyjnej rzeczy: i w postawieniu zagadnienia, i w jego oświetleniu, i w wynikach ocen krytycznych.

Po ustaleniu definicji intencjonalnej (w przeciwstawieniu do definicji realnej), co rozumie przez poezję, której dzieła „w indywidualny sposób poruszają nasze uczucie i stawiają przed naszą wyobraźnią jakieś sprawy czy obrazy o uniwersalnym charakterze", Borowy dał przegląd poezji polskiej w w. XVIII w nowym świetle i dokonał gruntownej rewolucji w poglądach dotychczasowych. Przede wszystkim odkrył X. Bakę, dotąd ośmieszanego, a ponadto utrwalił pozycję Benisławskiej, jako wybitnej poetki, na którą pierwszy i nieśmiało zwrócił uwagę Chrzanowski. Podniósł wpływ mistyki i ascetyki hiszpańskiej na twórczość tych poetów i wykrył w poezji tej ogólnoświatowe motywy religijne.

Z jakimś darem nowego podejścia i świeżością patrzenia na rzeczy stare i opatrzone dokonał rewizji poglądów w oparciu o dotychczasowe wyniki badań lub w przeciwstawieniu się tym poglądom. Przez fakt ten wykłady Borowego o poezji polskiej w w. XVIII nie stały się nowym i nudnym skryptem uniwersyteckim, lecz stanowią wybitną pozycję naukową. Starzy znajomi wystąpili tu w zupełnie nowym i nieoczekiwanym świetle.

V.

Szczelna kurtyna pomiędzy Polską i Wielką Brytanią nie pozwala na dokładny wgląd w bieżącą twórczość kulturalną Polski. Stąd fragmentaryczność oceny dorobku naukowego i pisarskiego Wacława Borowego. Dwóch jeszcze pozycji nie sposób pominąć. Są one zbyt charakterystyczne dla indywidualności badawczej Borowego, a poza tym osiągalne na gruncie londyńskim. Mówię o dwóch studiach Borowego: „Poeta przeobrażeń" (w zeszycie XII. r. 1948, „Twórczości", poświęconym Mickiewiczowi) i „Główne motywy poezji Norwida" („Zeszyty Wrocławskie" Nr 1-2, r. 1949).

W studium o Mickiewiczu Borowy rozpatruje przeobrażenia bohaterów Mickiewicza, dla których motywem tych przeobrażeń była miłość ojczyzny. (Grażyna, Alf Walter, Gustaw - Konrad, Jacek Soplica). Są to ludzie, dla których „obowiązek patriotyczny jest źródłem największej inspiracji i największej siły". Ojczyzna jest dla nich najwyższym trybunałem moralnym. W ciężkiej moralnie rzeczywistości polskiej rozprawa Borowego mimowoli apeluje do sumienia. Nie o to jednak chodzi. W rozprawie tej Borowy znowuż z darem swego widzenia odkrywczego poruszył tylko jedno zagadnienie Mickiewicza-poety, poety przeobrażeń. Ale rzucił też program badań na przyszłość. Trzeba jeszcze bowiem zbadać w Mickiewiczu innych poetów: poetę miłości, poetę przyjaźni. poetę osamotnienia, poetę pokornej modlitwy, poetę prometejskiej odwagi, poetę wysokich regionów fantazji, poetę radości i realnych szczegółów życia. Dominuje poeta przeobrażeń, bo i sam Mickiewicz przeobraził się w sposób dramatyczny. Przestał pisać, zamilkł. A u niego — zauważa Borowy—tak trudno było oddzielić poezję od osobistego życia. Tymczasem przeobraził się w nie-poetę.

Z konstrukcji studium widać, że Borowy przemyśliwał, a może już i pisał o tych innych poetach w Mickiewiczu i o tym Mickiewiczu nie-poecie lecz działaczu. I stąd, m. in. owa niepowetowana strata dla nauki, jaką jest śmierć Borowego.

W studium o Norwidzie, tak samo wnikliwym głębokim, subtelnie wartościującym, mówi Borowy o głównych motywach jego poezji, którymi były: historia, dzieje, prawda. „W całej poezji Norwida czuje się wicher historii".

VI.

Gdyby zapytał mnie kto, jak po krótce scharakteryzować Borowego i określić jego pozycję w dziejach krytyki literackiej w Polsce, byłbym bardzo zakłopotany. Zakłopotanie to pochodzi stąd, że Borowy, jako nieprzeciętna indywidualność nie da się ująć w schematy i formuły, choćby najbardziej elastyczne. Można tylko mówić o jego cechach naczelnych.

Pomijam wielką erudycję i znajomość literatury powszechnej w mierze mało spotykanej u polonistów. Podkreślam natomiast metodę badania literatury polskiej, z miarą porównawczą w stosunku do innych literatur, by z polskiej wydobyć jej dorobek własny, jej cechy indywidualne. Metoda ta daje w wyniku twórcze poczucie wspólnoty europejskiej, nic nie zatracając z cech t. zw. sarmackości, czy własnej tężyzny narodowej. Po prostu stwierdza, że należymy do jednej rodziny kulturalnej, w niejednym opóźniliśmy się, ale nadrobili, w innym szliśmy obok, a czasem tylko i trochę naprzód.

Drugą cechą Borowego, jako badacza, było rzadkie na ogół odkrywcze spojrzenie na dzieło i twórcę. Mówią o tym studia o Fredrze, mówią wykłady o poezji polskiej w osiemnastym wieku, mówi szkic o „Przepióreczce". Z tym spojrzeniem łączy się u Borowego nowość i świeżość przedstawienia, w nas jakiś niepokój poznawczy, gdy bierzemy do ręki pracę pisarską Borowego. Mówi on o rzeczach wielkich w sposób prosty, a o zjawiskach ujemnych i słabiznach z pobłażliwością i subtelną ironią. Nie zna patosu, jak Tarnowski, a ma duże odczucie i żywą, ale opanowaną reakcję. Duży wdzięk pisarski w oparciu o tę prostotę i swobodę osiąga w czytelniku znaczny efekt.

Innym darem Borowego jest dar aktualizowania. Pochodzi ten dar z poczucia ciągłości kulturalnej i wybornej znajomości całej literatury polskiej. Gdy zacytuje np. nieznanego dziś krytyka w. XVIII jak w wypadku Janockiego, powie, że był on „mniej więcej Kazimierzem Czachowskim swoich czasów". Gdy mówi o mistrzach rytmu w prozie w w. XVIII — o Karpińskim i Staszicu, doda: „O nich tylko dwóch... powiedzieć można, że jako artyści prozy należą do tej samej linii, do której będzie należał Żeromski". Mówiąc zaś o poglądach i sztuce tłumaczenia Staszica, dorzuci, że „wzór jego... nie znalazł naśladowców, myśl sama wszelako została wznowiona po upływie półtora wieku — przez Boya Żeleńskiego — i w teoretycznym wywodzie i we fragmencie przekładu „Mitrydata" Racine'a". Pisząc o młodzieńczych erotykach Knaźnina powie: „Wszystkie te marzenia, tęsknoty i żarty... są wykładnikami młodzieńczego charakteru Erotyków i pozwalają je porównać z późniejszym o lat sto czterdzieści debiutem lirycznym, jakim były „Wiosna i wino" Wierzyńskiego.

I wreszcie dar wartościowania odnosi duże sukcesy u Borowego. Ten dar nieomylnie wskazuje, co się przeceniło, a czego nie doceniło. Ustala ten dar hierarchię wartości w oparciu o przyjęte przez Borowego zasady oceny krytycznej.

Był też Borowy i wybornym, szlachetnym polemistą. Do pereł jego polemiki zaliczyć należy odparcie napaści (inaczej tego nazwać nie można) p. Stefana Żółkiewskiego na książkę Borowego o osiemnastowiecznej poezji polskiej. Żółkiewski w sposób niewybredny, krętacki i nielojalny omówił książkę w „Kuźnicy" (Nr. 146), szafując propagandowymi sloganami sowieckiej krytyki. Borowy sprostował dowolności krytyka w jego interpretacjach, odesłał poszczególne twierdzenia Żółkiewskiego do proseminarium elementarnej logiki i metodologii, jako nie wytrzymujące krytyki, dał lekcję semantyki, przypomniał wreszcie żartobliwie mówiąc o szkole estetyki marksistowskiej, że Lenin po wysłuchaniu rewolucyjnych wierszy młodych poetów bolszewickich zauważył „Puszkin wsio taki łuczsze". (Puszkin jednak lepszy). Przenicowawszy bezsensowne slogany i oceny Żółkiewskiego, wytknąwszy mu w sposób dokładny i w rękawiczkach nieuctwo, jednostajność i „dziwną niezajmującość", dodał w zakończeniu z zabójczą ironią: „Jego (Żółkiewskiego) temperament pisarski, jego upodobania intelektualne, jego zamiłowanie do prostoty, tworzą tak cenny zespół zalet, że mógłby on sobie pozwolić i na rycerskość". („Tyg. Powsz." Nr 179). Ta lekcja rycerskości w obecnej rzeczywistości społeczno - politycznej i kulturalnej w Polsce sięga do najgłębszych rysów indywidualności Borowego.

VII.

Na przestrzeni ostatnich lat stu dzieje krytyki literackiej w Polsce wykazują nieprzeciętne indywidualności i wielkie talenty: Mochnacki i Klaczko; Tarnowski, Spasowicz, Chmielowski, Pilat, Brückner, i Tretiak; Chrzanowski, Chlebowski, Kallenbach i Windakiewicz nie licząc pomniejszych, lub nawet równych, ale nie wymienionych, aby nie mnożyć litanii nazwisk.

Wśród dzisiejszej konstelacji gwiazd krytyki i historii literatury, błyszczą nazwiska: Kleinera, Borowego, Pigonia, (a chciałoby się tu dodać jeszcze Parandowskiego o odmiennym nieco charakterze pisarskim i naukowym).

Wacław Borowy wyróżniał się wśród nich tymi cechami swojej indywidualności naukowo - pisarskiej i niezależności krytycznej, które temu zjawisku kulturalnemu nadają cechy niepowtarzalności.

W. P.

NOTATKA UZUPEŁNIAJĄCA

Z KRAJU nadeszła wiadomość o nagłym zgonie profesora Uniwersytetu Warszawskiego Wacława Borowego. Przez zgon ten kultura polska poniosła stratę szczególnie bolesną. Borowy był jednym z najświetniejszych znawców i historyków literatury polskiej. Ubytek jego czyni także dalszą szczerbę w szeregach anglistyki polskiej, przerzedzonej już w ostatnich latach bardzo silnie przez śmierć profesorów Tretiaka (zamordowanego przez Niemców) i Dyboskiego.

W chwili zgonu Borowy liczył lat zaledwie 60. Urodzony w roku 1890 w Tuszynku (woj. łódzkie), doktoryzował się z filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. W latach 1916—1919 był nauczycielem w szkołach średnich stolicy. Po wojnie w latach 1920—1928 pełnił funkcje bibliotekarza Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, a w r. 1928 został radcą Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Był czynnym członkiem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego i innych instytucji naukowych.

Pierwszą swą pracę, o Ignacym Chodźce, ogłosił jeszcze w r. 1914. W okresie 20-lecia Niepodległości Borowy wydał m. in. następujące prace: ‚O wpływach i zależnościach w literaturze'(1921), ‚Ze studiów nad Fredrą' (1921), ‚Prolegomena do wszelkiej przyszłej instrukcji katalogowej' (1926). W latach 1921—22 redagował doskonały periodyk literacki „Przegląd Warszawski".

Jako anglista Borowy przybywał często do Londynu; przeprowadzał też studia w innych ośrodkach kultury brytyjskiej. Głównym owocem tych studiów była książka o Chestertonie (‚Gilbert Keith Chesterton'), wydana w r. 1929, a więc jeszcze za życia znakomitego pisarza. Można śmiało zaryzykować twierdzenie, że nawet w języku angielskim nie ma, jak dotąd, tak wszechstronnej i bystrej charakterystyki twórczości Chestertona.

Borowy ogłosił też kilka studiów z historii stosunków polsko- angielskich w ubiegłych stuleciach. Wymienić tu należy: ‚Early Anglo-Polish Relations' (‚Baltic Countries' ,vol. I, nr. 1, str. 105—108, Toruń 1935); ‚English Visitors to Prussia, Lithuania and Poland in the XIV Century' (‚Baltic Countries', vol. II, nr 2, str. 247—252, Toruń 1936). Borowy zbierał też materiały do większej pracy o stosunkach angielsko -polskich; wojna przeszkodziła dokończeniu tego dzieła, co gorzej, zebrane już materiały uległy zniszczeniu. Dowiadujemy się o tym z artykułu Borowego, ogłoszonego w „Sprawozdaniach Towarzystwa Naukowego Warszawskiego", a później także w osobnej odbitce, pt. „Anglo - Polonica. Wiadomości o niedokończonej pracy i zniszczonych materiałach". Artykuł ten ukazał się w r. 1947 w języku polskim i francuskim.

Pisywał też Borowy o Polsce dla Anglików. W londyńskim „Studio" (nr 493, 1934) ukazuje się rozprawka jego „The Genius of Poland"; w tymże roku „Slavonic Review" ogłasza jego charakterystykę nowej literatury polskiej pt. „Fifteen Years of Polish Literature" (1918 - 1933)". Rzecz ta pojawia się również w osobnej odbitce.

Podczas drugiej wojny światowej Borowy jest jednym z najczynniejszych pracowników ruchu podziemnego w zakresie podtrzymywania tętna polskiego życia kulturalnego. Jest także redaktorem pracy zbiorowej, charakteryzującej szczegółowo straty, jakie barbarzyństwo najeźdźców niemieckich zadało kulturze polskiej w czasie wojny i okupacji, — pracy, przeznaczonej dla świata anglosaskiego. Sam tłumaczy pracę tę na język angielski. Pierwsza jej część przemycona została w małych odbitkach fotograficznych do Londynu i ukazała się w początkach r. 1945 staraniem polskiego Ministerstwa Informacji pt. „The Nazi Kultur in Poland", (wydrukowało książkę ‚His Majesty's Stationery Office').Przedmowę napisał znany poeta angielski John Masefield.

W słowie wstępnym, datowanym z lipca 1942 r., autorowie książki podkreślają niezmierne trudności, w jakich przyszło zbierać i opracowywać te materiały wśród ciągłych niebezpieczeństw, grożących ze strony Gestapo. Drugą przeszkodą był brak oświetlenia i zimno, gdyż główna część pracy przypadła na zimę 1941—42, kiedy dostawa prądu elektrycznego w General -Gouvernement była bardzo ograniczona i pracować trzeba było przy lampie naftowej, lub często tylko przy świecy, w lodowatej temperaturze.

Po wojnie Borowy zajmuje się zagadnieniami rewindykacji dóbr kulturalnych. W r. 1945 ukazują się na ten temat uwagi jego pt. „General Observations on the Problem of Reparations with Regard to Art and Culture".

Oddaje się później swej pracy profesorskiej na Uniwersytecie Warszawskim. W r. 1948 ogłasza drukiem dłuższą rewelacyjną rozprawę pt. „O poezji polskiej w wieku XVIII" (nakładem Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, str. 398). W rozprawie tej poddaje rewizji ustalone dotychczas poglądy na hierarchię poetów polskich tego stulecia. Miała to być jego ostatnia książka.

(rb)

ALEKSANDRA POLESKA

Z CIEKAWOSTEK ŚWIATA WYDAWNICZEGO

WALKA ŚWIATÓW

DAWNO już nie było takiej sensacji na anglo-amerykańskim rynku wydawniczym jak ukazanie się książki Velikovskiego „Worlds in Collision". Wydana najpierw w Ameryce w znanej firmie Macmillan rozeszła się prawie natychmiast w 55.000 egzemplarzy! Zanosiło się na to, że będzie bestsellerem sezonu i dyrektorzy musieli już zacierać ręce, gdy nagle wybuchnął skandal, spowodowany postawą szeregu uczonych, którzy nie tylko obrzucili autora wyzwiskami, ale rozpoczęli systematyczny bojkot firmy wydawniczej. Macmillan upokorzył się i nie chcąc tracić zaufania w świecie nauki prędko odstąpił swe prawa rywalizującej firmie Doubleday. Jeden z dyrektorów po 26 latach pracy u Macmillana zrezygnował na znak protestu, a nim jeszcze świat księgarski ochłonął ze zdziwienia, już pojawiły się dalsze rezygnacje: między innymi także przewodniczącego Departamentu Astronomii w Amerykańskim Muzeum Historii Naturalnej i kuratora Hayden Planetarian, którzy odnieśli się do książki entuzjastycznie. W Anglii książkę wydał Gollancz*) i napewno zrobił na niej majątek ze względu na kontrowersję, jaka się wokół niej rozpaliła: Velikovsky — geniusz czy szarlatan?

Zajmijmy się najpierw publikacją z literackiego punktu widzenia. Bardzo rzadko się zdarza, żeby astronomowie czy astrofizycy, nawet wybitni, posiadali mierny choćby talent literacki. Najlepszym przykładem obiecujący Fred Hoyle, który jest ponoć wschodzącą gwiazdą nauki brytyjskiej, ale którego seria artykułów w „The Listener" była stosunkowo na niezbyt wysokim poziomie, jeśli idzie o sztukę pisania. Wyjątkiem był zmarły niedawno wielki Jeans, którego teorie powstania wszechświata są już dziś obalone, ale który potrafił nadać porywającą i sugestywną formę swoim wywodom.

Velikovsky, z pochodzenia żyd rosyjski, który studiował po kolei w Moskwie, Berlinie, Edynburgu, Wiedniu i Zurychu — i którego językiem rodzinnym nie jest angielszczyzna — potrafił stworzyć wizję wszechświata naprawdę wstrząsającą. Przez ostatnie 10 lat zajmował się z pasją badaniem źródeł folklorystycznych najstarszych narodów świata, aby znaleźć w nich potwierdzenie swej hipotezy o zmianach w układzie planetarnym, które rzekomo zajść miały w czasach historycznych, a które odbiły się na położeniu osi ziemskiej, wyglądzie ziemi, klimacie i czasokresie trwania pór roku.

Dla człowieka nowoczesnego ten ostatni rozdział o różnicach jakie nastąpiły w mierzeniu lat na ziemi musi być najbardziej rewelacyjny dlatego, że w 20 wieku żyjemy pod ciśnieniem sztucznego czasu, odmierzanego przez zegarek. Człowiek pierwotny żył blisko przyrody, rozumiał, że oznaczanie czasu ziemskiego wiąże się ściśle z działaniem całego mechanizmu niebieskiego, o którym nie wiedział nic. ale nie wiedząc, żył przynajmniej pośrodku owych sił tajemniczych prawem wtajemniczenia religijnego i pierwotnego strachu. My natomiast przygnieceni zmechanizowanym życiem, nie pozostawiającym czasu na refleksje, uświadamiamy sobie niezmiernie rzadko, że czas, wskazywany przez zegarek, jest czasem kosmicznym, jest wynikiem stabilizacji potężnych sił, które mogą któregoś dnia runąć i zmieść ten patetyczny i groteskowy światek, wyrosły na naszym globie. Jakiegoż przeżycia dostarcza nam Velikovsky, gdy powiada, że czas zmian czterech pór roku był inny, nim zbliżyła się do nas planeta Venus!

Autor zwalcza ustaloną teorię, według której orbity planet nie zmieniły się w ciągu milionów lat. Wszechświat — w pojęciu wielu — podobny jest do dobrze wyregulowanego mechanizmu działającego z idealną precyzją, gdzie niemożliwy jest żaden przypadek, bo wszystko zostało z góry przewidziane. Velikovsky przeciwstawia się takiemu ujęciu. Na podstawie takich źródeł jak Stary Testament, chińskie księgi święte oraz szczątki napisów w językach Mayów, Azteków i Polinezyjczyków — twierdzi stanowczo, że w czasach historycznych zaszły dwie katastrofy kosmiczne o następstwach brzemiennych w skutki. Pierwsza z tych katastrof miała miejsce w czasie wyjścia Żydów z Egiptu i została spowodowana właśnie przez Wenus, która nie była wtedy jeszcze planetą o ustalonej orbicie, ale kometą przebiegającą w pewnym okresie przez strefę działania ziemi.

To „zderzenie" Wenus i naszego globu miało spowodować zmiany w położeniu osi ziemskiej, a co za tym idzie, gwałtowną zmianę klimatu. Jako jeden z dowodów cytowane są wykopaliska na Syberii. Znalezione tam mamuty które musiały żyć ongiś w strefie gorącej, w chwili odkopania znajdowały się w stanie idealnej prezerwacji skutkiem zamknięcia w skorupie lodowej, która je pokrywała. Wyglądały tak jak „frozen meat", które dostajemy co tydzień na racje u rzeźnika... Niektóre mamuty trzymały jeszcze niepogryzioną trawę w zębach — znak nieomylny, że katastrofa, która położyła kres ich istnieniu, przyszła w sposób niespodziewany. Dotychczas fenomenu tego nie umiano sobie wytłumaczyć. Velikovsky twierdzi (niewiadomo: trafnie czy nie), że zmiana klimatu i połączony z nią kataklizm, który je zabił — nastąpiły pod wpływem zmiany położenia osi ziemskiej — biegun znalazł się nagle w strefie podzwrotnikowej.

Teza, że Wenus była kiedyś kometą wygląda przekonywująco — nie ma jej w układzie planetarnym chaldejskim i babilońskim. To, że zderzyła się z ziemią na 15 wieków przed narodzeniem Chrystusa wydaje się laikowi możliwe, zwłaszcza, że potwierdzenie tego wypadku znajdujemy we wszystkich wierzeniach ludowych obu półkól. Np. Indianie szczepu Pawnee z Nebraski przekazywali sobie przez 120 pokoleń tradycję, że planeta Wenus zagraża ziemi i mieli w związku z tym szereg religijnych obrzędów, zakończonych ludzką ofiarą. Fenomeny, które tłumaczono sobie dotychczas jako alegorie i fantazje, np. plagi egipskie, rozstąpienie się wody przed Żydami — Velikovsky tłumaczy dosłownie, jako opis autentycznych zdarzeń. Z tego miało by wynikać, że prorocy, a przede wszystkim Izajasz, to nie tylko mężowie świątobliwi, ale również znający astronomię i fizykę mędrcy, którzy potrafili na podstawie obserwacji niebios wysnuć odpowiednie wnioski i przepowiedzieć z niezwykłą trafnością klęski i nieszczęścia, jakie miały dotknąć „naród wybrany".

Historia niezbyt odległa wskazuje, że jest możliwe nagłe zbliżenie dwóch ciał niebieskich i próba wzajemnego niejako pochłonięcia. W roku 1767 kometa Lexella znalazła się w rejonie przyciągania Jupitera i jego księżyców. Ponad dwa lata trwała walka światów i w 1769 kometa wyzwoliła się spod wpływu planety. Zastrzeżenia budzi inna teza Velikovskiego, wedle której ziemia na jakiś czas stanęła bez ruchu pod wpływem działania komety Wenus. Nawet laik podejrzewa, że coś tu jest nie w porządku, zwłaszcza, że autor nie tłumaczy wogóle, jak taka rzecz stać się mogła. Ogranicza się tylko do cytowania źródeł starożytnych, które zgodnie stwierdzały, że pewnego dnia „słońce zatrzymało się w biegu". Istotnie musiały zajść wtedy jakieś poważne zakłócenia porządku niebieskiego, bo źródła żydowskie podają, iż słońce nie zachodziło przez 14 dni, a z pism Indian wynika, że dokładnie w tym samym czasie druga półkula spowita była w ponure ciemności.

Na ziemi zbliżenie się do niej innego ciała niebieskiego spowodowało, że oceany zmieniły łożyska — tutaj doszukuje się źródła legendy, że morze rozstąpiło się przed Żydami wychodzącymi z Egiptu. Z dna oceanów dźwignęły się nowe pasma górskie — w ten sposób tłumaczy fakt, który dawno już interesował uczonych, że na szczytach Himalajów zachowały się odciski stworów morskich. Meteory spadały na ziemię w obfitej ilości — stąd ów słynny deszcz z kamieni, o którym wspomina Biblia. Czytelnik, pomimo niewątpliwego zahypnotyzowania talentem narracyjnym autora — może mieć zastrzeżenia co do możliwości tych zjawisk, nawet jeżeli niewiele zna się na astronomii.

Natomiast gdy Velikovsky tłumaczy pewne prymitywne wierzenia religijne na podstawie drobiazgowego wyszukiwania źródeł przedhistorycznych — nie możemy się oprzeć wrażeniu, że jego interpretacja jest przecież możliwa. Weźmy na przykład jego twierdzenie, że u wszystkich bez wyjątku ludów na niskim poziomie cywilizacyjnym istnieje legenda o smoku. Smok nie jest zwierzęciem spotykanym w przyrodzie. Nie przypomina go też właściwie żadne ze zwierząt zamieszkujących glob ziemski w zamierzchłych czasach. Niektórzy uczeni próbowali wyjaśnić to zjawisko w taki sam sposób, jak tłumaczyli uczucia religijne: że człowiek ma wrodzone poczucie istnienia Istoty Najwyższej i wrodzone poczucie strachu przed istotą siejącą grozę. Zgoda. Ale dlaczego istota siejąca grozę, to jest smok wygląda identycznie tak samo w wyobrażeniach ludów, zamieszkujących różne kontynenty, które wtedy się z sobą nie komunikowały?

Smok (i u niektórych plemion jego kult) powstał pod wpływem zjawisk na niebie. Wenus, kometa z długim ogonem, wydzielała w zetknięciu z atmosferą ziemską wielkie ilości ciężkiego gazu, który nie rozpraszając się tygodniami, sformował na niebie wizerunek fantastycznego węża-smoka. Później walka z tym smokiem przeszła do mitologii i wierzeń religijnych ludów obu półkul. A ci, co uwolnili ludzkość od potwora stawali się bohaterami narodowymi i świętymi.

Porywający obraz międzygwiezdnych starć, który maluje Velikovsky, może okazać się fałszywy z naukowego punktu widzenia. Ostateczne zdanie o książce należy do a-

*) *Immanuel Velikovsky „Wordls in Collision", Victor Gollancz, London, 1950.*

WZNOWIENIA DZIEŁ J. CONRADA W POLSCE

TYGODNIK „Dziś i Jutro" w numerze 39-40 z br. zamieścił interesujący artykuł Zdzisława Najdera pt. „Człowiek — walka — ucieczka", z którego dowiadujemy się sporo szczegółów o renesansie Josepha Conrada w Polsce wojennej i powojennej i o wydanych tam ostatnio dziełach tego pisarza. Artykuł Najdera ozdobiony jest dwoma dobrymi portretami autora „Lorda Jima" wykonanymi — jeszcze przed wojną — przez Feliksa Topolskiego.

Pan Najder, który zapowiada się na dobrego conradologa, streszcza w swym studium znane naszym czytelnikom z artykułów St. Pałęckiego (patrz „Życie" nr. nr. 7 i 8 z rb.) wypowiedzi J. Kotta, Marii Dąbrowskiej, A. Gołubiewa o podstawach etyki Conrada, którego popularność w Polsce ostatniej doby wyjaśnia zaniechaniem przedwojennych sporów o narodowość i „zdradę" Korzeniowskiego i sięgnięciem do jądra jego twórczości.

„Groza i zamęt okupacji — pisze Z. Najder, — konieczność znalezienia trwalszej podpory duchowej wobec walenia się dawnych kryteriów, nakaz przeciwstawienia oszalałemu światu własnej, odrębnej osobowości, potrzeba zebrania sił do dalszej walki — oto powody wzmożonej popularności dzieł Conrada w czasie minionej wojny. Ucieczką od rzeczywistości były te książki, — ale jednocześnie mówiły o pojęciach tak aktualnych jak honor, obowiązek, wierność, przyjaźń — w sposób wnikliwy, a jednak prosty, — a przede wszystkim kazały szukać wewnątrz siebie, w „wierności samemu sobie", ostoi i umocnienia. I nie kwestia — Polak czy Anglik, patriota czy zdrajca, ale zagadnienie — Conrad ideolog, Conrad artysta — stało się punktem centralnym zainteresowania".

Dalej z pracy Najdera dowiadujemy się, że szkic Kotta „O laickim tragiźmie" spotkał się z mocną odprawą także wewnątrz obozu marksistowskiego. Marksistowski uczony prof. J. Chałasiński zamieścił na łamach „Myśli Współczesnej" (październik 1946, str.96) krytykę studium Kotta, w której zarzuca mu błędne traktowanie dzieł Conrada na płaszczyźnie „przygody duchowej", oderwanie ich od podłoża pracy. Pisać o bohaterach Conrada, zapominając, że oni pracują — jest nieporozumieniem. Ponadto Chałasiński zarzuca Kottowi ahistoryczność, a raczej historyczność fałszywą. W tym miejscu powołuje się na M. Dąbrowską i jej tezę o istnieniu pewnej ilości podstawowych norm postępowania, wytworzonych w ciągu rozwoju ludzkości i niezależnych od wszelkich systemów społecznych. Prof. Chałasiński twierdzi, że pomijanie tej drogi rozwojowej ludzkości jest poważnym błędem metodycznym ze strony Kotta — obok traktowania Conrada wyłącznie w płaszczyźnie klasowej, abstrahując od powikłań narodowościowych. To też, konkluduje Chałasiński, „likwidacja Conrada" jest tylko „osobistą przygodą duchową" autora „Mitologii i realizmu", a nie ogólnym wskaźnikiem.

W dalszym przeglądzie ostatnich polskich conradianów, Najder powołuje się na przełożone na polski i opublikowane w „Twórczości" (Nr. 1 z r. 1947) wspomnienia Johna Galsworthy'ego oraz na pracę Wacława Borowego pt. „J. Conrad sędzią polskiego przekładu swej noweli „Il Conte"", opublikowaną w sprawozdaniach P. A. U. (Kraków, lipiec-wrzesień 1947).

Z analizy uwag, jakie poczynił Conrad na marginesie polskiego przekładu wspomnianej noweli wynika, że do ostatnich lat życia (uwagi były pisane w r. 1922) nie stracił on wyczucia odrębnych właściwości języka polskiego. Brak odczucia zbytniej „literackości" przekładu Piwińskiego składa Borowy na karb faktu, że Conrad stykał się wówczas więcej z językiem polskim pisanym, niż mówionym.

Zakończywszy analizę oryginalnego studium Antoniego Gołubiewa „O katolickości Conrada", które Najder proponowałby zatytułować „O pseudo-katolickości Conrada", autor artykułu w „Dziś i Jutro", pisze o konieczności napisania wyczerpującej, polskiej monografii J. Conrada. Istniejące dzieła: Ujejskiego, Retingera i G. Jean-Aubry'ego „Joseph Conrad; Life and Letters" — nie zaspakajają potrzeb czytelnika polskiego.

Rzecz charakterystyczna dla stosunków panujących w Kraju, że Najder, który, — jak to widać z jego pracy — włożył wiele trudu w zebranie materiałów conradowskich, nic nie wie o wydaniu wspaniałej monografii Jean-Aubry'ego „La vie du Conrad", ani o wznowieniach emigracyjnych dzieł Conrada, opatrzonych tak znakomitymi przyczynkami do monografii, jak obszerny wstęp dra Wita Tarnowskiego do „Lorda Jima", nie mówiąc o licznych szkicach conradowskich tego krytyka i pisarza, rozrzuconych w różnych czasopismach emigracyjnych. Na wypadek, gdyby te słowa dotarły do p. Najdera pragnę tu wspomnieć, że dr Wit Tarnawski ma w swej tece szkicowo opracowaną monografię Josepha Conrada (wykończenie jej jest tylko kwestią czasu), że przełożył na nowo powieść „W oczach Zachodu", a uprzednio, wspólnie z Januszem Jasieńczykiem „Księcia Romana" (Jerozolima, 1945), że wreszcie jest przewodniczącym istniejącego w Londynie od paru lat „Klubu Miłośników Conrada", gromadzącego wszelkie materiały dotyczące życia i twórczości tego pisarza. Conradowski numer „Wiadomości" widocznie nie dotarł do redakcji „Dziś i Jutro".

Z omówienia przez p. Najdera ostatnich wznowień conradowskich w Kraju wyjmuję jedynie istotne informacje, pomijając poprawne, ale znane tu od dawna interpretacje autora artykułu. Oto lista wznowień z danymi bibliograficznymi:

1) „Tajfun" — tłum. J.B. Rychliński, Bibl. Polska, 1947, str. 308. (wyszła na świat bez daty wydania, bardzo zła korekta).

2) „Korsarz" — tłum J. B. Rychliński, wyd. St. Jamiołkowski i T. J. Ewert, wydane w r. 1947 bez daty, str. 143, niestaranna szata graficzna.

3) „Złota strzała" — tł. Aniela Zagórska, Jadwiga Korniłłowiczowa i Karola Zagórska, wyd. Poziom, 1948, str. 367; pierwodruk polskiego przekładu, bardzo staranne wydanie na dobrym papierze, z przedmową Jana Parandowskiego i z fotografią Conrada.

4) „Lord Jim" — przełoż. A. Zagórska, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1949, t. I — str. 268, t. II — str. 196 — bardzo staranne wydanie.

5) „Zwierciadło morza" — tł. A. Zagórska, P.I.W., str. 221 plus 2 nlb. b. staranne wydanie.

6) „Smuga cienia" — tł. J. Sienkiewiczówna, P.I.W., 1950, str. 162, b. staranne wydanie.

Omawiając wspomniane powieści, Z. Najder kładzie najsilniejszy nacisk na „Lorda Jima" i analizuje koncepcję utworu od strony artystycznej. Podkreśla „wielostronność tej książki" i olbrzymią rozpiętość możliwości przeżywania jej z najrozmaitszych punktów widzenia. „Rozłożenie treści — pisze, — nasuwa porównanie z tragedią klasyczną. Do sprawy, czy pisząc „Lorda Jima", miał Conrad na myśli siebie samego i czy Patnę rozumiał jako Polskę, a Patusan jako Anglię — nie przywiązuje Najder wagi, uważając te tezy Morfa za naciągnięte. „...dla zrozumienia książki rozwiązanie tej zagadki jest bez znaczenia — czytamy w artykule. — Odwrotnie, nie należy starać się o zbyt skrupulatne sprecyzowanie treści ideowej „Lorda Jima". Formułki, zatrzymując życie, zabijają".

strofizyków i także do biblistów, którzy ją omówią drobiazgowo, o ile nie zechcą jej „zamilczeć na śmierć" jako pracy poniżej naukowego poziomu. Praca zresztą prawdopodobnie jest łatwa do atakowania dla specjalisty, chociaż z drugiej strony niewielu znajdzie się zapewne ludzi, którzy mogliby podać w wątpliwość folklorystyczne wyniki żmudnych badań, dokonanych z pasją przez amatora. Velikovsky zna 9 języków, a komu z uczonych (nawet z prawdziwego zdarzenia) chciałoby się grzebać latami po wszystkich źródłach, począwszy od lapońskich i mongolskich a skończywszy na meksykańskich, po to, aby dowieść zapaleńcowi, że się mylił!

Jeżeli przyjmiemy, że książka jest tylko wynikiem jakiegoś niezwykłego „hobby" czy nawet tylko chęci zrobienia koło swej osoby iście amerykańskiej reklamy — to jednak dla laika, który mało się zajmuje zagadnieniami d o t y c z ą c y m i wszechświata, ma ona niewątpliwie pewną wartość: przede wszystkim otwiera z rozmachem okno na sprawy kosmiczne, ukazuje zdarzenia wieczne, oślepia i przeraża ogromem i niezwykłością tego, co się niewidocznie wokół nas dzieje. Przybliża nam w sposób pełen poezji ową „muzykę sfer", w którą wierzono w czasach starożytnych i średniowiecznych, a którą Velikovsky identyfikuje jako przenikanie się wzajemne fal elektrycznych między dwoma ciałami niebieskimi. Tak, książka może być naiwna i fałszywa w poglądach. Ale ładunek emocjonalny, jaki z sobą niesie sprawia, że czytając ją czujemy po krzyżu ów dreszcz metafizyczny, którego nie potrafiłyby wywołać najdokładniejsze astronomiczne cyfry.

Aleksandra Poleska

JANUSZ KOWALEWSKI

TESTAMENT (3)

PIETREK

PIETREK zjawił się nazajutrz, jak obiecał. Więc jego szept nie był przywidzeniem. Chłonęli się wzrokiem, nic nie mówiąc. Oczy Pietrka, niegdyś wyzywające, zuchwałe, teraz wydały się Rudemu tragiczne w fioletowych jamach oczodołów. Bledszy był i chudszy. Nieporadnie dreptał wokoło Rudego i klepał go po ramionach.

— Czemu tak konspiracyjnie, jakby to był podpunkt na Mokotowie? Nie mogłeś przyjść wprost? — spytał Rudy.

— Nam, tutejszym, uważasz, stary byku, zabronili się spotykać z wami, co tu na szkołę przyjeżdżacie. Boją się, żeby my wam szkoły nie dali. — Wciąż kręcił się po pokoju, oglądał portrety na ścianach. Potem, nie patrząc Rudemu w oczy, zapytał niby od niechcenia przez ramię:

— A ty wprost z Warszawy?

— Wprost. Dwa tygodnie już tu siedzę.

— Wiem. A jak tam Mokotów? Słyszałem „burnie" się buduje? Prawda to?

— Tak, budują.

— Całą nową dzielnicę, podobnież „postroili"?

— Tak, na dużej przestrzeni... Domy dla oficerków, burżujów, ministrów.

— To nie ważne, grunt, że budują. Nie liche będzie teraz miasteczko, co? A więzień mokotowski stoi jak stał?

— A stoi, stoi. Pan naczelnik Krawczyk kazał ci się kłaniać. „Pozdrów — powiada ode mnie Pietrka, co to w Moskwie w Srula z Lubartowa się zamienił".

— Tylko nie Srul, tylko nie Srul, rozumiesz, stary byku, bo ci powiem „Rudy do budy", a zawsześ się o to szarpał. Mnie się tylko o to rozchodzi, czy budują. Bo jak budują, to moje chłopaki mają robotę, a ja mularz z fachu, choć tutaj w tym „Miaso kombinacie" robię.

— Nie gadaj. Tęsknisz za Warszawą. Nie masz się czego wstydzić. Komuniści też ludzie. Żaden kongres Kominternu nie zakazał jeszcze tęsknoty. Ja sam choć niedawno tutaj, a...

Pietrek obrócił ku niemu poweselałą twarz.

— Tęsknisz? Prawda? Nie licha wioska ta nasza Warszawa? No dawaj, na te konto musiem się napić. — Wyjął z kieszeni zielonawą butelkę, odbił, pociągnął zdrowy łyk, oddał Rudemu. — Musiem się śpieszyć, żeby Wala mnie tu nie zastała. Ty się jej strzeż. Mam ci dużo do powiedzenia. Ja tu trefny. Bieda by była, jakby ciebie ze mną spotkali. Przypominają mi trockizm, lewe odchylenie. A ja mam gdzieś ich wszystkie „izmy". Niech mnie tylko do Warszawy puszczą. Miałbym ja już swój rozum. Parę dni temu nazad Warszawę pokazywali w kinie. Dodatek. To mówię ci — aż mnie tutaj coś...

Wziął butelkę z rąk Rudego, znowu szarpnął tęgi łyk. Zaczął mówić szybko, jakby wyrzucał gromadzony miesiącami ból, gorycz, protest, bunt, nienawiść:

— Wyzysk jest w faszystowskiej Polsce? To ty zobacz jak tu żyje dyrektor, a jak robociaga, jak „aktrysa", a jak suchotnica z tytoniówki. Widziałeś ten mityng w fabryce? Co dziesiąty — szpicel G. P. U. Robotnika na robotnika naszczuwają i każą się jem publicznie oskarżać, żeby sobie szpicloskie robote ułatwić. Węszą za opozycją. Miliony ludzi w łagrach. Za co aresztują? Bo robotnik chce socjalizmu nie dyktatury. Bo głodny chodzi.

Rudy stał przed nim oniemiały, sparaliżowany. — Pietrek.. — Wykształcił. Pietrek spojrzał mu w oczy. Po raz pierwszy prosto i uparcie, jak dawniej, kiedy się spierali o taktykę rewolucyjną.

— Ty pewnie myślisz, że ja dla prowokacji — zaczął twardo. — Tutaj tak jest, że jeden przed drugim narzeka, a potem donosi na niego, że słuchał i nie protestował. Ale ja... Ja chcę, żebyś chłopakom do Polski zawiózł: to nie socjalizm, to pańszczyzna, dyktatura nad proletariatem. Wynaleźli teraz „stachanowskie sarewnowanie". Krwiopijcy k... ich mać. A ja sam, ciemniak frajerski, szyję w tę pętlę włożyłem. Matkiem zostawił, dziewczynę rzucił. Oszukali, dranie. „Naprasno starucha żdiosz syna damoj" — zanucił przez zęby.

Przerwał, podniósł dłonie do piersi. Bladość twarzy — na czerwonym tle ściany, — sine piętna pod oczami, — świadczyły o daleko posuniętej chorobie serca. Dyszał ciężko. Osunął się na krzesło, wciąż przyciskając dłonie do piersi. Rudy stał nad nim jak martwy. Słowa Pietrka leciały na niego jak lawiną.

— Chłopie — zaczął Rudy, jąkając się — szał w ciebie wstąpił. Zaraza trockistowska. Upiłeś się. Milcz już. Ja nic nie słyszałem. Nic między nami nie było. Nie wolno ci pić.

Pietrek właśnie sięgał po butelkę i mimo protestów Rudego, wyciągnął długi łyk. Odstawił i jakby się uspokoił, ale twarz zbielała mu jeszcze bardziej.

— To że u nich nędza, że musisz tyrać jak koń — podjął znowu, nieco spokojniej — to nic, to nie najważniejsze. Mądry człowiek musi przyciągnąć pasa, żeby na starość mieć lepiej. Ale tu nigdy nie będzie dobrze. System jest zgniły — biurokracja, terror. W naszej fabryce na pięć tysięcy robotników jest półtora tysiąca biurokratów. A teraz dolicz, ile wypada na naszą dolę poza fabryką: G. P. U., wojsko, partia, milicja, biurokracja ogólnopaństwowa. Wszystko to wisi na szyi robotnika, a robotnik na własną zgubę musi to karmić i odziewać. A sam wciąż głodny i bosy. Ty jesteś inteligent — lubisz ekonomicznie i matematycznie, to posłuchaj: Ten „miasokombinat", gdzieś był na masówce, robi mięso i wędliny na całą Rosję. Kupuje żywca z kołchozów po półtora rubla kilo, sprzedaje wędlinę do magazynu państwowego po pięć rubli kilo...

— Kalkulacja gospodarcza: praca robotnika, amortyzacja maszyn, podatek na cele ogólnopaństwowe — podjął Rudy dyskusję.

— Dobrze, dobrze, to w porządku. Ale magazyn bierze za kilo wędliny — wiesz ile? Trzydzieści rubli. Na czyją kapę idzie ta nadwartość?

— Państwa...

— Acha: „ państwa", jaśnie państwa z dwiestu rodzin komitetu centralnego. Francją, powiadają, rządzi dwieście rodzin. A tu co? To samo, tylko że na zasadzie absolutnego monopolu. Tu jem robotnik strajku nie zrobi, o podwyżkie się nie upomni...

— Po co strajk w państwie robotniczym?

— Nie bądź głupi. Przyglądaj się uważnie temu „państwu robotniczemu". zapytaj się siebie samego, swojego sumienia partyjnego: poco jem 3 miliony gepistów, jeżeli klasy wrogie są już wytrzebione? Wszystko zgniło na kanałach, kości ostatniego kułaka wmarzają już w tudrę. Po co jem ta zbrojna pasożytnicza siła?

— Okrążenie kapitalistyczne...

— Śmij się z takich bajek. Oni z kapitałem świat jeszcze na pałam rozdzielą. Nie kapitału się oni boją, ale gniewu ludu. Tu i na całym świecie. Kiedy się proletariat spostrzeże, jak strasznie przez tyle lat był oszukiwany... Zmiażdży, zgniecie... Takiego oszustwa świat jeszcze nie widział.

— Jest przecież kontrola robotnicza nad partią i komitetem centralnym...

— Widziałeś tę kontrol na mitingu w mojej fabryce. Kontrol jest, ale nad proletariatem, nad każdym naszym ruchem, nad każdą myślą. Spróbuj tu im coś wytknąć, że źle robią. Drugi raz nie powtórzysz. Nie powiem — na małych wykonawców możesz pyskować. To i gazety stale robią — na rozkaz. Poco? Po to, żeby odwrócić uwagę mas od prawdziwych winowajców — partii, sownarkomu.

— Są opozycje wewnątrz partii. Demokracja wewnątrzpartyjna...

— Była. Opozycja też była: lewa, prawa, deceki. Gdzie oni teraz? Po śmierci tego biurokraty Kirowa (może z tem i prowokacja była) setki tysięcy ludzi idzie pod ziemię i w lody. On morduje każdego, kto staje na drodze do jego termidorskiej dyktatury. Za co zginął Sochacki, Wandurski, Wojewódzki, Dąbal, Jasieński?

— Jakto? Zginęli?

— Nie wiesz jeszcze... No to ja ci mówię. Z tem do ciebie przyszłem. Powiedz chłopakom. Prowokatorów z nich zrobili, nacjonalizm polski, współpracę z dwójką jem przyczepili. Kłamstwo... Chcieli komunizmu, ale prawdziwego. Zbuntowali się, żeby jego krwiożercza dyktatura nie spadła na nasz, polski, proletariat. Chcieli ostrzec. Moje dni policzone. Już za mną szpicle chodzą... Ale nie bój się — zmyliłem ich dzisiaj. I ze mnie zrobią „zdrajcę proletariatu światowego". Powiedz chłopakom, że Pietrek nie zdradził proletariatu... Ale nie chciał się wysługiwać dyktaturze nad proletariatem. Tutaj proletariat nie ma nic, ani jednego słowa do gadania w sprawie swoich interesów. Robotnik jest ot tak — podniósł i opuścił rękę — maszyna do głosowania dla zachowania pozorów, a faktycznie bydlę... W Polsce, pamiętasz? Faszystowski niby kraj, a poszliśmy z demonstracją do ministra, żądaliśmy, żeby zasiłków dla bezrobotnych nie obniżali. Sam minister nas przyjął. Słuchał twojego trajlowania, cygarem poczęstował. Nie przerywał. Potem sam zaczął tłumaczyć, statystyki, wykresy pokazywać, że bieda ogólna w kraju... Ale fakt faktem zasiłków nie cofli. A spróbuj tutaj iść z demonstracją do komisarza... Zdechniesz, zanim pomyślisz. Pamiętasz, jak nasz potem opieprzali z K.C., że nie było bojowo, tylko petycyjnie. Oni tak kazali. Leński mnie mówił. Bo jem nie chodzi o to, żeby bezrobotny w Polsce nie zdychał z głodu, tylko żeby się krew lała, żeby był wieczny burdel na całym świecie... To wtedy ich zbrodnie ujdą oka robotniczego.

Rudy milczał. Miał pewność. niewiadomo skąd płynącą, że Pietrek spełnia rolę prowokatora. — „Chcą mnie poddać próbie, chcą wybadać moją wierność dla komunizmu" — myślał z goryczą. — „Dlaczego oni nie mogą zrozumieć, że takie metody zatruwają dusze ludzkie trucizną wzajemnej nieufności. To może obrócić się przeciwko nim samym, gdy nadejdzie godzina wielkiej próby. Powinienem złożyć raport Albertowi. Nie zrobię tego. Nie uznam nigdy takich metod. W ten sposób socjalizmu się nie zbuduje"...

— Ty myślisz pewnie, że ja dla prowokacji — powiedział Pietrek po chwili milczenia.

Rudy nie odpowiadał, ale unikając jego spojrzenia dał mu aż nazbyt jasną odpowiedź.

— Myślałem, że mnie pojmiesz —zaczął znowu Pietrek, a brzmienie głosu jego mówiło o wielkim, bolesnym zawodzie. — Razemśmy nadstawiali karku na pałki policyjne. Myślałem, żeś dobrze poznał mnie wtedy. Psem Pietrek dla nikogo nie był i nie będzie. Pożałujesz, żeś mnie tak ciężko skrzywdził. Bo przekonasz się niedługo, że to jest... czerwony faszyzm. Jak ci powiedzą: „Pietrek to wróg ludu... Agent polskiej dwójki"... To zrozumiesz Ja do ciebie żalu nie mam. Nie jesteś winien. To oni stawiają mur między bratem a bratem. Każdy żyje na wolności niby, a w więzieniu, w pojedynce. Przez to każdą organizację, każdą konspirację niszczą w zarodku... Ja już pójdę. Nie zobaczem się chyba. Acha, jedno jeszcze muszę ci powiedzieć — strzeż się Wali. Maskuj się przed nią. Ona codziennie o szóstej składa raport Markowskiemu... Nie patrz takim wzrokiem! Ona też niewinna. Zmusili ją. Uralem nastraszyli. W gruncie rzeczy to porządna dziewczyna. Oni zrobili z niej szmatę, jak z nasz wszystkich tutaj. Kola się broni, cierpi. Albo się ugnie, albo pójdzie, gdzie tylu innych. Ich „socjalizm" — to maszyna do przerabiania żywych ludzi w martwe konserwy... No, bądź zdrów.

Wyciągnął rękę. Rudy chwycił ją mocno i wparł się w jego oczy. Wyczytał w nich rozpacz bez nadziei i taką tragiczną szczerość, że przeraził się poprzedniego posądzenia i tej krzywdy, jaką mu zrobił.

— Wierzę ci Pietrek, wierzę w twoje najlepsze intencje, ale wiem, że błądzisz. Ciężko jest, to prawda, ale nadzieja przecież... Jedyna słuszna, wielka idea... Bo co pozostaje? Na świecie szaleje faszyzm jak wściekła burza. Faszyzm i oni — dwie jedyne siły... Nie staniemy przecież z faszyzmem?

— Jest może i inna siła. Kto dożyje, zobaczy. Ciężko... A żeś mi uwierzył i że chłopakom powtórzysz?...

— Powtórzę.

— No to... no to... Bóg ci zapłać.

Wyrwał dłoń z dłoni Rudego i wybiegł. Rudy poczuł żar łez w oczach. Podszedł do okna. Środkiem oświetlonej ulicy kroczył twardo oddział Czerwonej Armii. Niósł się zawodzący pogłos śpiewu:

Ja drugoj takoj strany nie znaju,
gdie tak wolno dyszyt czeławiek.

Pietrek stał na brzegu chodnika i powoli kiwał głową.

ROZDROŻE

Ciemność zupełna objęła pokój. Rudy nie zapalał światła — elektrycznego światła, z którego tak dumna była Wala.

Chodził gorączkowo w ciemnościach. Pietrek był robotnikiem. Miał instynkt klasowy. Czyżby instynktem tym odkrył prawdę wcześniej, niż Rudy zdążył ją wyrozumować „inteligencko - mieszczańskim" mózgiem?

Papiery na granicy; generał G.P.U. — krętacz i chuligan; komsomolec, który wiózł Rudego z Mińska do Moskwy, ze swoimi głupimi pojęciami o świecie kapitalistycznym i megalomanią radziecką; nieprzyjemny Albert; fałszywa samokrytyka; przedstawienie zorganizowanego donosicielstwa na mitingu związku „Miaso kombinatu"; kobieta, dźwigająca kosze ze śmieciami i jej wstrząsające zwierzenie o „dziobatym Fiedce"; bezdomne upiory na przedmieściu Moskwy; tragedia Wali i jej męża — to były drobne rany. Ale Pietrek był raną otwartą, przez którą wycieka teraz krew jego wiary. Jeśli by Pietrek nie był podstawiony... Nie, tak by nie zagrał najgenialniejszy aktor. — Jeśli Pietrek miał rację, to gwiazda przewodnia, która tak nieomylnie prowadziła dotychczas Rudego poprzez noc „czasów pogardy", była tylko błędnym ognikiem, wiodącym na manowce... Rudy stoi teraz zupełnie sam na rozdrożu pośród najgłębszej nocy, matki zwycięskiego zła.

To dudni nasz krok.
Krokiem mrok nocy pruj.
Niech pieśń gra taranem u krat.
O inną dziś Polskę idziemy na bój,—
O Polską Republikę Rad.

Nie... Idziemy w przepaść. To Jasieński napisał tę pieśń. Co Pietrek mówił? Jasieński zginął? Zabity? ,,To dudni krok kłamstwa", ,,czerwonego faszyzmu", jak powiedział Pietrek. Żelazna stopa, obuta w fałszywe cytaty o szczęściu ludzkości, miażdży człowieka... Gorączkowo myśli, sumuje drobne spostrzeżenia: wygląd ludzi na ulicach, przerażone spojrzenia na widok cudzoziemca, bizantyński kult osoby...

Nienawiść bucha płomieniem. Znagła ogarnia go przerażenie, jak człowieka, który ujrzy płomień na dachu swego domu, a nie wiedział, że płomień piął się długo do góry małą iskierką, potem coraz większymi ognikami po ścianie, ku stropom, do wolności. W tym domu, który oto płonie, mieszkał przecież ,,bóg" Rudego. Uświadamia sobie, że bez Boga człowiek żyć nie może. Co na miejsce tej wielkiej Idei? Czy prawda brata burmistrza, wieczna przyziemna troska o to, aby było ,,dobrze"? A przecież jest inna prawda — matki, która mówiła prostym, a sięgającym źródła rzeczy słowem: ,,Czyż można chcieć lepiej niż chciał Chrystus? Nie wymyślicie nic mądrzejszego. Kochać i przebaczać. Kto nienawidzi, jak wy, krzywdzi. Kto krzywdzi, nigdy nie zbuduje dobrego świata"...

Zgrzytnęły drzwi. Światło zalało pokój.

— Oh jakżem się przestraszyła! — krzyczy Wala. — Dlaczego nie palisz elektryczności? Szkoda ci?

W Rudym budzi się to samo nagłe pragnienie porwania jej w ramiona, jak wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Podchodzi do niej, zrywa płaszcz z jej ramion i przyciska zgorączkowane usta do jej ust, mających kształt owocu dzikiej róży. Wala nagle jakby maleje, potulnieje w jego ramionach i oddaje mu chciwie pocałunek. Usta ich długo się nie rozłączają. ,,Czy ona o tym też Markowskiemu opowie?" — myśli Rudy i tym zawziętsze, tym bardziej przekorne rośnie w nim pragnienie poznania jej ,ponad wszelkie wyobrażenie pięknego, ciała, — kryjącego nikczemną duszę szpiega. Dygoce od wzburzenia krwi, bijącej w skronie i niecącej słodki żar w całym ciele. Jest nieporadny przez chwilę. Pocałunek trwa już zbyt długo, brak tchu. Ruchem, zapamiętanym z filmu, chwyta ją pod kolana i pod głowę i niesie.

— Oj, ciężka jestem... — mówi Wala zająkliwie, ale nie wyrywa się z jego uchwytu, przytula się jeszcze mocniej, obejmuje za szyję i znowu całuje jego usta.

Odtąd Walą tylko wypełniona jest myśl Rudego. Wspomnienie jej palących, jak żywe płomienie, uścisków nie odstępuje go ani na chwilę. Ma nad nim moc, sprowadzającą zapomnienie — o Pietrku.

Kola, pochłonięty przygotowaniami do kongresu Kominternu, całe dnie i noce spędza poza domem. Wpada tylko raz, najwyżej dwa razy na tydzień. Pucował się, zmieniał bieliznę, zamieniał z roztargnieniem kilka słów z Walą lub Rudym, i znowu wybiegał. Istnienie Koli nie docierało do świadomości Rudego, nie czuł najmniejszych wyrzutów sumienia. ,,Wala nie jest właściwie jego żoną, ale jakby córką", — rozgrzeszał się. Nie myślał również o przyszłości, o rozstaniu, tonął w chwili bieżącej bez myśli i bez pamięci. Rolę myśli i pamięci objął, szczęśliwie ,instynkt samozachowawczy, który kierował jego zachowaniem w szkole. Instynkt kazał mu się entuzjazmować, kazał miotać gromy, słuchać z otwartymi ustami i chłonąć słowa wykładowców o geniuszu wodza proletariatu światowego. Instynkt kłamał i udawał. Jakie były jego prawdziwe uczucia? Nienawiść? Nie. Pustka. W miejscu, gdzie dawniej płonął namiętny płomień wiary, z rzadka przygaszany drobnymi wątpliwościami, obecnie ziała przepaść. W chwilach oprzytomnienia myślał: ,,Więc tak łatwo przychodzi kłamstwo? Więc tak łatwo można pokrywać nicość fałszywym patosem słów? Jeśli ja to robię, to przecież wszyscy ci tutaj dokoła mogą kłamać tak samo".

— Za tydzień odjedziesz — powiedziała Wala pewnej nocy.

— Za tydzień? Jakto za tydzień? ...Tak, za tydzień... A ty skąd wiesz? — spytał nagle. — Ja ci o tym nie mówiłem.

— Markowski mi powiedział — rzekła spokojnie i odsunęła się od niego.

— A ty co masz z Markowskim? — zapytał Rudy ,,przebiegle" — jak mu się zdawało.

— Ja? Co dzień się z nim widuję — mówi Wala i prosto spogląda mu w oczy.

— Poco?

— Opowiadam mu dokładnie o tobie. Wszystko: co robisz, co mówisz, co czytasz, co myślisz, o czym śnisz...

— Jesteś więc tak nikczemna, że podjęłaś się roli szpicla przeciw własnemu kochankowi i chwalisz się tym jeszcze! — krzyczy Rudy z miażdżącym, jak mu się zdaje, patosem. Rzecz niepojęta, ale dawno czekał na tę chwilę, dawno chciał jej to rzucić w twarz i zadać ból — jej i sobie. Miłość, im słodsza i bardziej namiętna, tym więcej się lubuje w cierpkim smaku tragedii. Wala najpierw się śmieje, jak wariatka (przestraszony głaszcze jej twarz), potem uspokaja się nagle i zaczyna płakać — cicho, żałośnie, tak aż kłuje pod sercem.

— To ty naprawdę nie zrozumiałeś? Dlaczego ja ci o tym powiedziałam? Przecież teraz oddałam ci nie tylko ciało, ale wszystko. Cała jestem w twoich rękach. Mogłam nie powiedzieć, a powiedziałam. Oddałam ci więcej niż serce — wolność, życie. Jedno twoje słowo i — kopalnia miedzi. Nie wiedziałam, jak cię ukochać, jak ci powiedzieć, że nie byłeś dla mnie ot tak na jedną noc, ale czymś takim, co nie przeminie w myśli. A ten: ,,nikczemna"... Wy tam na tym kapitalistycznym Zachodzie, jak te dzieci bez pojęcia o prawdziwym życiu. Tam, jak kobieta chce dowieść, że kocha, to rzuca dom, męża, dzieci i idzie w świat za kochankiem... I myśli, jaka to ona straszna bohaterka, jaka męczennica miłości... Och głupcy wy, głupcy. Iść w świat — czy może być większe szczęście. Spróbuj tu iść w świat. To że ja ci powiedziałam, to więcej niż rzucić męża i dom, to więcej niż samobójstwo popełnić.

Rudy całuje łzy na jej rzęsach i teraz czuje, jak bardzo ją kocha, pojmuje teraz rozpaczliwy ciężar tych słów: ,,Za tydzień pojedziesz".

— Nie myśl, że ja... Tak głupio postąpiłem... Nie wiesz, jak cię kocham... Nie wyjadę stąd. Dobrze? Będziemy razem.

Wala milczy długo, a potem mówi:

— Razem? Nie, nie będziemy razem. Ciebie poślą do innego łagru, a mnie do innego. Wszystkich waszych, co tu na stałe przyjechali, likwidują. Wiem. Tydzień temu były wielkie aresztowania po linii polskiej partii. Ty musisz jechać jak najprędzej.

— Nie wiesz, kogo aresztowali?

Wymieniła kilka imion i nazwisk. Pietrka wśród nich nie było. A więc Pietrek? Prowokator? Przeniknęła go groza. Nie wypuszczą Alberta i... Wzdrygnął się. Nie, za go stąd. Może jeszcze czas iść do nic w świecie nie będzie donosicielem.

— Czy to wszyscy? — zapytał.

— Skąd? Markowski tylko paru mi wymienił. A wzięli kilka setek.

— Jeśli nawet wyjadę — zaczął mówić z głęboką wiarą — to mimo wszystko będę kochał tylko ciebie. Nie będę cię mógł zapomnieć. Jesteś pierwszą kobietą, z którą byłem tak blisko i tak długo. Tego się nie zapomina, choćby się nawet chciało. Tak piszą we wszystkich książkach o miłości. Wymyślę sposób, abyśmy mogli się połączyć na zawsze. Wcześniej czy później, ale będziemy razem. Zmieni się sytuacja polityczna. My u siebie stworzymy przecież komunizm. Nie będziemy już okrążeniem kapitalistycznym dla Związku Radzieckiego, zniesiemy granice i wtedy cię odnajdę. Wszystko będzie inaczej...

Słuchała i płakała. Zbyt wiele słyszała w życiu obietnic, aby mogła się łudzić.

„RENEGACI"

Markowski rozwiązał grupę. Pożegnał się w długim patetycznym przemówieniu, zakończonym strzelistym aktem nadziei, że towarzysze powtórzą wiernie w swoich krajach wszystko, co widzieli w Związku Radzieckim, opowiedzą o szczęśliwym życiu robotnika, chłopa i inteligenta i zrobią wszystko, aby ich partie w godzinie potrzeby stanęły twardym murem przy boku ojczyzny proletariatu światowego, przekształcając wojnę imperialistyczną przeciw Związkowi Radzieckiemu w wojnę domową przeciw własnej burżuazji.

Rudy stanął przed Albertem, dygocący z wewnętrznego napięcia. Albert patrzył przyjaźnie i uśmiechał się swym krzywym uśmiechem. ,,Gra, czy naprawdę" — myśli Rudy gorączkowo.

— Jestem zadowolony z waszego zachowania na ziemi radzieckiej. Wykonaliście obietnice waszej samokrytyki. Wykładowcy i towarzysz Markowski chwalą wasz entuzjazm i zdolności. Chodzi teraz o to, abyście oddali to wszystko polskiemu proletariatowi, który was tu wysłał i wsparli go w jego bohaterskiej walce z faszyzmem polskim. Jakie staną przed wami najbardziej palące zadania chwili? Stanie przed wami, towarzyszu Rudy (prawdę mówiąc, nie jesteście taki rudy) — walka z bandycką prowokatorską kliką trockistowską, zakorzenioną w waszej partii. Stanie przed wami zadanie tłumaczenia towarzyszom, dlaczego karzące ramię proletariatu radzieckiego ujęło i zniszczyło bandę prowokatorów, którzy zagnieździli się we władzach centralnych naszej partii

Rudy zastygł w oczekiwaniu na nazwisko Pietrka. Padło. Odetchnął głęboko. Albert przerwał i patrzył na niego uważnie.

— Sochacki? Żarski? Wandurski? Pietrek? Jakto? Pojąć nie mogę. Wy nie żartujecie, towarzyszu? — Rudy czuł, że gra teraz o życie.

— Niestety okazali się najpotworniejszymi renegatami, szpiegami faszystowskiej ambasady...

— Wyrzutki społeczne! — krzyknął Rudy. Serce ścisnęło mu się bólem i wstydem. Stoi na jakiejś upiornej wieży Babel, gdzie pomieszały się języki, uczucia i myśli.

*

Nie odrazu wypełnił testament Pietrkowy.

Po powrocie do kraju nie mógł się zdobyć na jawną walkę z partią. Wiele było przyczyn. Przede wszystkim znalazł się w stanie odurzenia i apatii — po utracie idei i Wali.

Wzdrygał się przed złowieszczą, poniżającą siłą słów ,,renegat socjalizmu".

Jedynemu człowiekowi wyznał całą prawdę od razu — matce. Wobec brata burmistrza przez przekorę i niechęć do jego kołtuńskiego stylu życia udawał wciąż zapalonego komunistę.

Gdy w rok potem jeden z towarzyszy przyniósł wiadomość, że Kola został wmieszany w proces lewej opozycji i prawdopodobnie rozstrzelany, a Wala zesłana niewiadomo dokąd, — przystąpił do wykonywania testamentu Pietrkowego. Rozmowy z matką wypełniły w jego duszy tę lukę, która powstała po wygaśnięciu wiary w komunizm. Zrozumiał, że renegatem jest tylko ten, kto zdradza jedyną, godną ludzkości ideę — ideę Chrystusa.

Spośród wszystkich rzeczy dziwnych najdziwniejsza jest różnorodność dróg, jakimi ludzie dochodzą do poznania tej boskiej prawdy, że nie nienawiść, lecz miłość jest duszą postępu.

K o n i e c

Janusz Kowalewski

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

SANTA ROSA DE LIMA

WNĘTRZE kościoła poświęconego św. Róży z Limy jest jasne, przesycone delikatnym blaskiem i bielą marmurowych ołtarzy, zdobnych drobnymi, złotymi mozaikami. Jest tu cicho i pięknie, a owa jasność, bijąca od świątyni zdaje się świadczyć o tym, że artyści, którzy, ją zdobili, musieli znać życie świętej Róży — jasne i ciche, delikatne i piękne, jak całe to wnętrze olbrzymiego kościoła, wzniesionego ku jej czci.

Na głównym ołtarzu w sklepieniu widzę ułożoną z drobniuteńkich kamyczków postać św. Róży klęczącą przy Matce Boskiej, tuż obok Katarzyny ze Sieny, którą kochała i na której życiu i cnotach wzorowała się w swej drodze ku Bogu. Obok ołtarza ustawiony jest obraz św. Róży. — Jej twarz w koronie z róż. Święta jest piękna. Patrzę no nią z wzruszeniem i zachwytem. Wiem bowiem, że wielce bolała nad swoją urodą i przepyszne, złote włosy obcięła tuż przy skórze, by choć trochę brzydszą wydawać się mogła. I wiem także, że dla tej urody nazwaną ją różą i pod tym imieniem świętą została, choć na chrzcie otrzymała imię Isabel.

Wiele osób modli się teraz w jej kościele, choć jest zwykły dzień. Niektórzy wchodzą tu tylko na chwilę, zatrzymują się przed ołtarzem Świętej, jakby Jej chcieli coś ważnego powiedzieć i wracają do swych spraw za progiem kościoła. Niektórzy przyglądają się mozaikom i kolumnom, tablicom pamiątkowym i białym ołtarzom.

Z tablic dowiadujemy się, że kościół św. Róży został poświęcony przez Kardynała Pacelli, ówczesnego Legata papieskiego na XXXII międzynarodowy Kongres Eucharystyczny w dn. 12.X.1934 r. Fundatorami kościoła byli markiza Maria de Alvear i ksiądz Benito Barbarossa. Specjalna tablica wyraża podziękowanie miasta Buenos Aires dla fundatorów i architektów za wzniesienie kościoła, poświęconego Patronce Ameryki Łacińskiej.

Kult św. Róży jest tu szczególny, i dzień 30 sierpnia, wyznaczony na dzień jej święta w bulli kanonizacyjnej Klemensa IX — jest uroczyście obchodzony we wszystkich państwach Ameryki Łacińskiej. Święta Róża jest pierwszą świętą Ameryki i życie jej przypada na okres formowania się państw na tym kontynencie, przyszła bowiem na świat 20 kwietnia 1586 roku w Limie, mieście zwanym *la Ciudad de los Reyes* — (,,miasto Królów"), które wówczas liczyło tylko 50 lat istnienia. W bulli kanonizacyjnej podkreśla Papież, że życie Róży było widomym znakiem, nowoodkryta ziemia Ameryki miała być włączona w ziemskie królestwo Bożego panowania.

Rose de Santa Maria (tak brzmiało nazwisko św. Róży) już we wczesnym dzieciństwie odznaczała się cechą, która dominowała w całym Jej życiu: było to umiłowanie cierpienia. Jako trzyletnia dziewczynka poddana ciężkiej operacji palca i ucha nie skarżyła się ani jednym słowem, a częste choroby znosiła z zupełną pogodą. Umiłowanie cierpienia, niezbyt widoczne u dziecka, zaczyna wzrastać z latami, a gdy Róża poznaje zasady wiary, staje się ono nieodłączne od Jej olbrzymiej miłości ku Chrystusowi, by wreszcie wybuchnąć w pragnieniu doznawania Jego cierpień. Róża, w małym domku-pustelni, który wznosi własnymi rękami, biczuje się ciężkim łańcuchem do krwi, a gdy spowiednik jej tego zabrania — łańcuchem owym opasuje się, zamyka go na kłódkę, od której klucz wyrzuca. Łańcuch wżera się w ciało. Dopiero matka zmusza ją do zdjęcia łańcucha. Pragnienie cierpienia nie opuszcza jednak Róży. Widok cierniowej korony na skroniach Zbawiciela nia daje jej spokoju. Sporządza sobie opaskę na głowę, która dla ludzkich oczu jest zwykłą ozdobą. Lecz pod srebrnym krążkiem są gwoździe, które za każdym ruchem ranią głowę. Róża pości czterdzieści dni jak Chrystus na puszczy, cierpi jak On, pragnie umrzeć jak On. I łaska ta zostaje jej dana. Konanie Róży, wszystko co czuje ona w chwili zgonu, jej cierpienie i męka — jest męką człowieka na krzyżu. Gdy czyta się opis jej śmierci — wierzyć wprost trudno, że Bóg zesłać może tak ogromną łaskę, by śmierć Swą dla zbawienia świata powtórzyć w człowieku. Róża zna dzień swej śmierci i kilka miesięcy przedtem prosi Marię de Gonzalo, w której domu przebywa, by nie dawała jej pić przy skonaniu, choćby widziała okropną mękę pragnienia. Konająca Róża woła: ,,Pragnę, pragnienie mnie zabija", —, lecz uspakaja się i jakby zobaczyła kogoś, szepce w szczęściu: Jesteś ze mną.

Całe życie Róży z Limy jest nieustanną, piękną łaską Bożego cierpienia i jeszcze piękniejszą — Chrystusowej miłości. Wzruszające są poezje Róży, jakie pisała dla Chrystusa, a raczej mówiła je, siedząc w swym domku, pochylona nad haftem, czy inną kobiecą robotą. Oto jeden z nich w moim przekładzie:

O Jezu duszy mej —
jak pięknym się wydajesz
pośród kwiatów i róż
z oliwkowego gaju...

O Panie duszy mej,
słodyczy ma nieziemska,
jak pośród ślicznych drzew,
tak w sercu moim mieszkasz...

Całe życie Róży było więc miłością, cierpieniem i pracą. Szczególnie znamienny jest jej stosunek do ubogich i chorych, którym poświęca się całkowicie. Cicha, piękna, młoda dziewczyna pielęgnuje trędowatych, nawiedza szpitale, niosąc ukojenie cierpiącym i konającym Jej żarliwą pobożność i ofiarna praca staje się wkrótce znana nie tylko w Limie lecz w całym państwie Peru. Z najodleglejszych jego zakątków ściągają ludzie, by zobaczyć Różę i szukać u niej pocieszenia w ziemskich kłopotach. Odchodzą podniesieni na duchu i zadziwieni jej postacią, która stanowi tak przedziwny kontrast ze wszystkim, co widzieli dotąd. Róża bowiem, jakkolwiek zdaje się być oddzielona od ziemskich spraw, rozumie je doskonale i jej miłość do świata jest najdoskonalszym wyrazem zachwytu dla dzieła Bożego. Podobnie jak św. Franciszek z Asyżu, Róża odznacza się szczególnym umiłowaniem przyrody. Najbardziej kocha drzewa i... komary. Złośliwe te owady, które, nazywa swymi gośćmi, zapełniają jej domek i tam wyzbywają się zupełnie swej napastliwości: nie gryzą nigdy kogoś, kto w celi Róży przebywa.

Umarła mając lat 31. Jej pogrzeb był manifestacją i ściągnął do Limy niezliczone rzesze mieszkańców całego kraju. Tłum, otaczający trumnę ogarnął tak olbrzymi

entuzjazm, tak żarliwa była wiara w świętość zmarłej, że kordony policji daremnie usiłowały bronić dostępu do ciała. Każdy pragnął unieść ze sobą kawałek habitu, w który była odziana, lub chociażby płatek z róż, zdobiących trumnę. Według biografa św. Róży, Leopolda Hanzena, musiano sześć razy ubierać świętą — sześć habitów bowiem zużyto na rozdzielenie jako relikwie między tłum. Może to wydawać się w pewnym sensie profanacją — lecz według mnie — jest raczej świadectwem spontanicznego pragnienia tłumów, które w żarliwych okrzykach proklamowały Różę świętą, nim jej ciało złożono do grobu i nim w 54 lata po jej śmierci w r. 1671 Klemens IX wydał bullę kanonizacyjną.

W czasie pogrzebu było wiele cudownych uzdrowień, które następnie powtarzały się w ciągu lat. Ciało Róży przenoszone do innego grobowca po dziewiętnastu miesiącach, nietknięte rozkładem śmierci, zachowało świeżość z dnia pogrzebu — jak wtedy wydawało się uśpione wśród róż o mocnym zapachu.

Nawet tak pośrednie zetknięcie się ze świętością jak przez opis życia i śmierci, odległej o blisko 400 lat — sprawia dziś wrażenie niezwykłe. Długo nie przestawałam myśleć o św. Róży. Zdawało mi się, że ta prześliczna, młoda, delikatna święta, miłująca cierpienie — zbliżyła się ku mnie, by pocieszyć mnie i przesycić wiarą. Ta święta, która ziemię indiańskich szczepów złożyła u Bożych stóp, która cierpieniem zwyciężyła zło — zdawała mi się mówić, że szczęście prawdziwe okupić można tylko bólem.

Gdy z kościoła św. Róży wychodziłam na ulicę obcego miasta — padał wiosenny deszcz. Drzewa zieleniły się delikatnymi pączkami, zaczynała się wiosna argentyńska. Patrzyłam na drzewa tej ziemi i myśląc, że lubiła je św. Róża uśmiechnęłam się do nich, choć tak bardzo różniły się od drzew mego Kraju.

Józefa Radzymińska

wrzesień 1950

Światowa pielgrzymka do cmentarzy wojennych

W czasie między 2. XI a 6. XI b. r. Papieska Komisja Pomocy w Rzymie urządza światową pielgrzymkę **do cmentarzy** wojennych we Włoszech. Pielgrzymką objęte są cmentarze: polski (Montecassino), brytyjski (Cassino-miasto), francuski (Montemario-Rzym), amerykański (Nettuno), włoski (Campoverano-Rzym) i niemiecki (Pomezia). Końcowa uroczystość w dniu 4 listopada odbędzie się na Montecassino.

W specjalnie wydanej broszurze, zawierającej poza programem fotografie cmentarzy i mapy rozmieszczenia tych cmentarzy we Włoszech, Przewodniczący Papieskiej Komisji Pomocy, Monsignor Baldelli. pisze:

„Wzniosłe zasady religijne i moralne, którymi kierowali się zawsze, a którymi i dzisiaj w burzliwym okresie przeżywanym przez świat kierują się szczególnie organizatorzy uroczystości Roku Świętego, nadają się więcej niż kiedykolwiek do obudzenia uczucia głębokiej czci względem poległych żołnierzy: do oddania hołdu, pod znakiem Krzyża, wszystkim zmarłym różnych narodowości, którzy spoczywają we włoskiej ziemi i do połączenia w powszechnym i gorącym pragnieniu braterstwa i pokoju rodzin tych, którzy polegli na polu chwały za swe ojczyzny."

Ze strony polskiej, Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, jako właściwa organizacja, weźmie udział w tej pielgrzymce.

ZDZISŁAW J. PESZKOWSKI

BYŁEM W...WILNIE

BYŁEM wczoraj w Wilnie. Jeszcze na świeżo pełen wrażeń i myśli serdecznych piszę ten list. Podarowaliśmy sobie Quebek z O. Rafałem Grzondzielem za cenę wywyprawy do Wilna. I nie żałujemy.

Wiele lat temu — na zbiórce harcerskiej, po przeczytaniu kilku wyjątków z książki Fiedlera „Kanada pachnąca żywicą" — długo siedzieliśmy nad mapą Kanady i planowali wyprawę do tych jezior, lasów, kopalni złota. Patrz — druhu — Wilno. Wilno — koło Ottawy! Tam by kiedyś pojechać! Tam napewno są Polacy, Wilniuki, albo tacy jak tam z „Pachnącej Żywicą Kanady". Takie to było dalekie i bez żadnych szans zrealizowania. Lecąc teraz samolotem z Toronto do Ottawy myślałem o tej zbiórce, o tych naszych kanadyjskich planach.

Trudno porównać Ottawę do Grodna — choć rzeka Ottawa dziwnie się mieni błękitem i te „pagórki leśne" i te łąki i tyle, tyle brzóz. Droga z Ottawy do Wilna przypomina Wileńszczyznę. Nie pasowały mi zupełnie nazwy stacji jak Glasgow, Golden Lake, Renfrew... Renfrew to Nowa Wilejka, nawet jakaś buda stała koło stacji.

Konduktor nie miał wileńskiej wymowy. — Śmiesznie brzmiało to Uylnoo, choć uśmiechał się po wileńsku. Już w pociągu słyszymy polską mowę.

— Polacy jesteście — zagadnął O. Rafał.

— Tak, z Barry's Bay.

— To niech będzie pochwalony Pan Jezus.

— Na wieki wieków amen.

Rozwiązują się im języki, choć wyczuwam jakiś opór.

— Przepraszamy, ale nasza mowa prosta, my po kaszubsku mówimy, tak zwyczajnie. I bardzo są zażenowani. O. Rafał wyjaśnia, że jego język jest śląski. A ja, po lwowsku zaciągam.

— To nasza mowa nie gorsza? — ze zdziwieniem pytają.

— Jakiś mędrzec kiedyś powiedział im, że kaszubska mowa to jakaś gorsza niż lwowiaków czy wilniuków. Urodzili się już tu w Kanadzie nasi towarzysze podróży. On pracuje jako kolejarz, ona prowadzi gospodarstwo. Dowiedzieliśmy się garść szczegółów o Wilnie i okolicy. Obiad spożyliśmy w polskiej parafii w Barry's Bay u X. prał. Biernackiego, o którym już w Stanach słyszeliśmy że w jego parafii „Brama na rościeź otwarta przechodniom ogłasza, że gościnna i wszystkich w gościnę zaprasza". X. Maika, kapelan lotnictwa kanadyjskiego, zawozi nas do Wilna — 6 mil stąd. Przy kościele ruch. Zapracowany proboszcz X. Wilowski w roboczym ubraniu dogląda wszystkiego. Nie dziwimy się: najstarsza polska parafia w Kanadzie. Wilno, obchodzi jubileusz 75-ciolecia istnienia.

Dziwne są dzieje tej parafii — dziwni jej mieszkańcy. Osadnicy Wilna to Kaszubi z okolic Starogardu, Libawy, Kartuzów, Tucholi, Brodnicy, Kościerzyna, Gdańska, Tczewa. Złość „Kulturkampfu" wygnała ich z Polski. Pierwsze zorganizowane grupy przybywają do Kanady w roku 1860 i osiedlają się w północnej części prowincji Ontario, przeważnie w puszczy. Tam zakładają Wilno i okoliczne miasteczka. Nazwę osadzie dali mieszkańcy dla uczczenia swego duchowego przewodnika X. Władysława Dembskiego pochodzącego z Wilna, gdzie przecież Najmiłosierniejsza Pani w Ostrej świeci Bramie. Trudne były początki — straszne. Podróże w zatłoczonych statkach, które zależnie od podmuchu wiatru nosiły pasażerów tygodniami po oceanie, epidemie, zła nawigacja na rzece św. Wawrzyńca, sprytni agenci, brak opieki ze strony władz, tendencyjne wysyłanie emigrantów daleko od miast, w zalesione niezamieszkałe okolice składały się na pierwsze trudności.

Osadnicy otrzymywali działki: samotni 100 akrowe, 200 akrowe rodziny z warunkiem, że w określonym czasie je wykarczują i przystosują do normalnej gospodarki rolnej. Plunęli w garść nasi Kaszubi i wyrąbali swoje domostwa, swoje — Wilno. Przeglądałem stare spisy — nazwiska Blank, Burant, Burchart, Dobek, Etmański, Jezierski, Lurbiecki, Norloch, Piekarski, Prince, Reca, Rekowski, Szala, Szczypior, Szmagliński, Szulist, Woldoch, Zblewski. To oni, jedni z pierwszych, dali początek osadzie Wilna. Prawie gołymi rękami zabrali się do karczowania boru, a później do uprawy roli. Opowiadała nam babka X. Maiki - 96 letnia staruszka — najstarszy mieszkaniec w okolicy Wilna, że po mąkę chodzili 60 mil do Renfrew. Niósł ktoś worek mąki i po drodze odstępował, ile komu było potrzeba, przynosząc do domu zaledwie kilka kilogramów! Podobnie z trudem zaopatrywano się w narzędzia pracy. Było kilka takich lat, w których cukier zjawiał się tylko na Boże Narodzenie i na Wielkanoc.

— Ciężko było — szepce staruszka, pani Marianna z Kudrowskich Etmańska. Miałam 17 lat, kiedy opuściliśmy naszą miejscowość Wielkie Glizno z parafii Bożyczkowo, pow. Czechowo. Początek jak u wszystkich: w lesie, później na roli i w końcu zostali właścicielami dużego kawałka ziemi, gdzie dziś Barry's Bay. Mąż jej został wybrany szeryfem na całą okolicę. Matka jej uczyła dzieci katechizmu.

— Jak z kościołem, pytam, ze Mszą św., chrzcinami, pogrzebem?

— Szliśmy do kościoła do Brudwell około 24 mil, przeważnie gromadą, bo dzikie zwierzęta dokuczały, Boso, bo wiele strumieni leśnych przecinało drogi, a mostów ani dróg, jak dziś, nie było — opowiada babcia. Z pogrzebem jak i z ślubem i chrzcinami było bardzo ciężko. Zwłaszcza zwłoki tyle drogi zanieść czy zawieść. W starych kronikach parafii Brudwell są nazwiska tych Polaków i dają świadectwo ich przywiązania do wiary św.

Założycielem parafii Wilna był X. Józef Specht, po nim X. Korbutowicz Tomasz i X. Dembski W., za którego czasów wybudowano pierwszy kościół. Notatka w „Wiarusie" z Winony (sierpień 1887) wspomina, że „niedaleko Renfrew leży polska osada farmerska Wilno, licząca 500 rodzin polskich. Proboszczem jest X. W. Dembski" Po nim parafię objął X. prałat Br. Jankowski. 36 lat mozolnej pracy to filie parafii Wilno w Barry's Bay i Round Lake'u. To owoce jego życia.

Do dziś pamięć po nim żyje, choć 22 lat temu umarł. „To był nasz ojciec, opiekun" — mówi staruszka i dorzuca wiele szczegółów z jego znojnego życia. Jego wikary, dziś prałat, X. Biernacki prowadził parafię w Barry's Bay. Po śmierci X. Jankowskiego parafię objął X. Wilowski. Jako 7 letni chłopiec przyjechał z rodzicami do Kanady. Wiele lat potem, po studiach w Ameryce, w Rzymie i po odwiedzeniu swych ojczystych stron i całej bez mała Polski, zainstalował się w Wilnie i jest tu do dzisiejszego dnia.

Nad Wilnem w Polsce „Trzy Krzyże" panują. Nad tym kanadyjskim wznoszą się strzeliste wieże gotyckiej świątyni „Królowej Korony Polskiej". Historia tej świątyni to jeszcze jeden rys charakteru Kaszubów. Dnia 2 lutego 1936 roku z niewiadomych przyczyn spłonął kościół doszczętnie. X. Wilowski zdołał uratować Najśw. Sakrament i dwa cyboria. Reszta spłonęła.

Trudno uwierzyć, że jeszcze w tym samym roku pasterkę odprawiono w nowym kościele. Stanęła świątynia i to jedna z najpiękniejszych w Kanadzie.

Z dumą opowiadał nam jeden z parafian. „To nasz X. Wilowski nam go postawił, myśmy tylko pomogli." X. Wilowski zaś odsyła nas do księgi pamiątkowej, w której czytam: „parafianie nie szczędzili przy budowie tego dzieła ani rąk, ani czasu, ani ofiary pieniężnej, byli tacy, którzy przebywali codziennie 10 mil drogi, by stanąć ochotniczo do pracy. Przeciętnie 60 ludzi dziennie darmo pracowało przy wznoszeniu świątyni. Jak powiadają, jednego dnia zgłosiło się do pracy ochotniczej 99 par rąk z 19 parami koni. Przynoszono nawet z sobą własne jedzenie, by zaoszczędzić kosztów budowy. Jednym słowem cała praca przy budowie nowego kościoła z wyjątkiem prac fachowych, została wykonana darmo i ochotniczo przez parafian".

Ale czar prawdziwy świątyni, to dopiero wnętrze. Nad głównym ołtarzem oblicze Matki Bożej Częstochowskiej. Obraz darowany przez Prezydenta R.P. prof. I. Mościckiego i wykonany przez artystę malarza B. Rudkowskiego, a poświęcony uroczyście na Jasnej Górze. Wręczenie obrazu 25 maja 1939 r. przez konsula R. P. Jana Pawlicę przypomina wmurowana tablica pamiątkowa. Był to dzień niezapomniany dla Wilna i Polaków w Kanadzie. Królowa Korony Polskiej jest obecną wśród tego ludu, który wierny jest wierze i ziemi ojców swoich, skąd ich przemoc wyrwała. Często odwiedzają Wilno przybyli do Kanady Polacy. Był tam i gen. Sosnkowski i poseł R.P. dr W. Babiński i inni. Trzeba przyznać, że rzadko można spotkać parafię z taką kulturą urządzoną i z taką atmosferą polską jak wileńska. Jej gospodarz X. Wilowski w wirze swoich zajęć znalazł czas na napisanie ostrej broszury p.t. „Wanted a Polish Poland" i ilekroć nadarza się sposobność, mówi o krzywdzie Kraju pod jarzmem zaborców. W uznaniu zasług legalny Rząd w Londynie odznaczył X. Proboszcza orderem Polonia Restituta.

Do dzisiejszego dnia dochował się w Wilnie język polski w narzeczu kaszubskim. Nie tylko w kościele modlitwy, śpiewy i kazania są po polsku, ale używa się go często poza kościołem, w życiu codziennym, a to już przecież trzecie pokolenie! Wilnianie wielką cześć żywią dla zmarłych, zwłaszcza przy zgonie któregoś z parafian zbierają się na wspólne modlitwy, a ostatnią noc przed pogrzebem całą poświęcają gromadnej modlitwie. Obrzęd ten zwie się w Wilnie „pusta noc". Śluby, jak dawniej, uroczyście: a więc z błogosławieństwem rodziców, „Czepcem" i wspólną kolektą dla młodych.

W parafii jest 8 klas szkoły elementarnej i dwie „High School". Parafia już wydała z swych mieszkańców 5 księży i wiele sióstr zakonnych. W czasie wojny światowej wilnianie też zaciągnęli się do wojska, aby walczyć o Polskę. W drugiej wojnie wielu służyło w kanadyjskiej armii. Zaglądam do statystyki parafialnej: „parafia Wilno liczy dziś około 1300 dusz, czyli około 200 rodzin."

W Ottawie, Wilno i okolice zwane jest „Corner of Poland", gdzie króluje „Our Lady Queen of Poland". Czytam w „The Ottawa Journal" — artykuł o założeniu Wilna: „The Poles arrived with nothing, but their courage and a will to establish themselves in independence" — to był początek. Dziś minister skarbu J. J. McCann, tak o nich w parlamencie powiedział: „Let me say that no county has a finer class of citizens than the Polish People of Renfrew county. They are honest, industrious, hard-working, good living and God-fearing people. They are men of the land and of the forest. They have been there for many years: they have raised large families, have become prosperous and are splendid law-aviding citizens. The parish of Wilno in Renfrew county is called after Vilna in Poland and is the oldest Polish parish in Canada".

Światło reflektorów naszego samochodu zatrzymało się na tablicy „Thank you — come again", a obok stacja Męki Pańskiej, tak jak w Polsce — jak na Wileńszczyźnie, jak na Pojezierzu Kaszubskim. Tak by się chciało zanucić pieśń kaszubską, tą którą na zbiórkach harcerskich śpiewaliśmy:

„Tam gdzie Wisła od Krakowa,
W polskie morze płynie,
Polska wiara, polska mowa
Nigdy nie zaginie.
Nigdy do zguby nie przyjdą Kaszuby,
Marsz, marsz, marsz za wrogiem,
My trzymamy z Bogiem.

Byłem kilka godzin w Wilnie u Kaszubów — co z „niczym tu przybyli prócz odwagi i woli, by być niezależnymi"...

Nabrałem sił na dalszą, a tak już długą tułaczkę...

Zdzisław J. Peszkowski

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

PRZEŚLADOWANIE KOŚCIOŁA ŁACIŃSKIEGO NA RUSI PODKARPACKIEJ

Tak zwana Ruś Podkarpacka, która od średniowiecza do roku 1918 należała do Węgier, w latach 1918 — 1939 do Czechosłowacji, a w latach 1939 — 1944 znów do Węgier, została po wojnie przyłączona do Rosji Sowieckiej. Przeważająca tam wśród ludności cerkiew unicka została natychmiast po aneksji skasowana, tak samo, jak w Ziemi Czerwińskiej. Ale Kościół łaciński, który przed wojną miał tam osobny wikariat apostolski, z 27 parafiami, 36 księżmi i 8 domami sióstr miłosierdzia, był tam dotąd tolerowany.

Obecnie jednak władze sowieckie zabrały się już do Kościoła łacińskiego. Organizacja jego została w praktyce unicestwiona, a wiara zeszła do katakumb.

PRZEKAZANIE DIECEZYJ W RĘCE JAPOŃSKIE

Dekretem Kongregacji Propagandy Wiary przekazany został **de iure** w ręce duchowieństwa japońskiego szereg kościelnych jednostek administracyjnych w Japonii. Jednostki te **de facto** miały już poprzednio pasterzy-Japończyków.

Dekret dotyczy diecezyj Fukuoka, Osaka, Sendai i Yokohama, wikariatu Sapporo i prefektur apostolskich Karafuto, Kyoto, Miyazaki, Nagoya, Niigata, Shikoku i Urawa.

„MATER DEI".

W Rzymie zakończono prace nad filmem przedstawiającym życie Matki Bożej od urodzenia aż do Ukrzyżowania Chrystusa. Premiera filmu została przesunięta, ponieważ okazało się, że artystka grająca Matkę Bożą jest zaciętą komunistką, córką wiceburmistrza Sofii, żyjącą do tego w konkubinacie.

PIELGRZYMKA KOMPANII WARTOWNICZYCH

W czasie między 1 a 4 listopada bawiła w Rzymie pielgrzymka Polskich Kompanii Wartowniczych w Niemczech, w składzie około 60 osób. Pielgrzymka poza normalnymi audiencjami wzięła udział w nabożeństwie na cmentarzu w Monte Cassino i w objeździe cmentarzy wojennych, organizowanym przez Papieską Komisję Pomocy.

CODZIENNY RÓŻANIEC

W wytwórni odzieży Richman Bros w Stanach Zjednoczonych kilka krawczyń i paru urzędników zbierało się codziennie — za pozwoleniem szefa — na odmawianie w przerwie obiadowej wspólnego Różańca na intencję pokoju światowego. Do grupki tej przyłączyli się wkrótce inni pracownicy i dziś ponad 500 osób zatrudnionych w fabryce, odmawia codziennie wspólnie Różaniec.

PIERWSZY DZIENNIK KATOLICKI W U.S.A

Pierwszy dziennik katolicki w U.S.A. ma zacząć ukazywać się w pierwszych dniach października pod nazwą „Sun Herald". Wydawany ma być przez przewodniczącego Akcji Katolickiej w Denver (Missouri) Mr. Roberta Hout.

KRONIKA KULTURALNA

FILOZOFIA

Nakładem księgarni św. Jacka w Katowicach ukazała się książka X. prof. Franciszka Sawickiego pt. „U źródeł chrześcijańskiej myśli filozoficznej" (nie podano roku wydania, str. 157). W sposób bardzo przystępny i zwięzły omawia znakomity autor zasadnicze zagadnienia związane z pojawieniem się myśli filozoficznej chrześcijańskiej i z jej starciem z filozofią helleńską poczym szkicuje poglądy filozoficzne św. Augustyna, św. Tomasza z Akwinu i Ekharta. Jak wynika z recenzji katolickiej prasy krajowej, dziełko X. Sawickiego jest pożytecznym wkładem do spopularyzowania strony filozoficznej chrześcijaństwa. Ukazuje ono jasno i przystępnie głęboki, humanistyczny sens chrystianizmu, który z racji swego uniwersalizmu i obiektywizmu zdolny jest zasymilować wszystkie wartościowe pierwiastki kultury ogólno-ludzkiej. Książkę tę należało by sprowadzić do bibliotek emigracyjnych.

LITERATURA

Instytut Wydawniczy ‚Pax' związany z w-ctwami: „Dziś i Jutro" oraz „Słowo Powszechne" ogłosił ostatnio konkurs na powieść o tematyce współczesnej, którą organizatorzy rozumieją „jako wyraz konsekwencji, jakie dyktuje katolikom życie na przełomie dwóch epok: tej, która jest u schyłku, a w której katolicy w najlepszym razie dążyli do korektur błędów płynących z istnienia ustroju kapitalistycznego i tej, w którą zwycięsko wkracza socjalizm". W ogłoszeniu o konkursie „Pax" wyraża „najgłębsze przekonanie, że katolicy mają misję do wypełnienia w każdym okresie historycznym" i że mogą rozwiązać określoną wyżej problematykę. Nagrody wynoszą: pierwsza — 150.000 zł., druga — 100.000 zł., trzecia i czwarta po 75 tys. zł. W skład jury wchodzą: D. Horodyński, J. Kolendo, P. Jasienica, M. Kurzyna, W. Kętrzyński, Z. Lichniak i W. Żukrowski.

Nie wątpimy, że katolicy mogą rozwiązywać problemy w każdym czasie i w każdym ustroju — pod warunkiem, że siły, rozstrzygające o kształcie tego ustroju, na rozwiązywanie problemów w duchu katolickim się zgodzą. Nic nie wskazuje na to, aby miało to nastąpić w obecnych warunkach w Polsce.

* * *

Londyński Instytut Kultury Narodowej rozpoczął swe prace cyklem wykładów dra Władysława Guenthera o Aleksandrze Fredrze. Cykl składać się będzie z 5 wykładów. które odbywać się będą w lokalu Polish Research Centre (patrz terminy w „Dzienniku Polskim"). Dr Guenther znany jest z drukowanych w „Bibliotece Warszawskiej" studiów o genezie komedii fredrowskiej. Jest także znawcą Moliera. Od stycznia roku przyszłego prof. A Żółtowski rozpocznie dalszy cykl wykładów o filozofii Augusta Cieszkowskiego, autora „Ojcze nasz".

NOWE KSIĄŻKI

W wydanej ostatnio w Nowym Jorku książce pt. ‚Calculaded Risk', amerykański generał Mark Clark, były dowódca alianckiej 5 armii we Włoszech, pisze, że zbombardowanie klasztoru Benedyktynów w Monte Cassino (przez lotnictwo amerykańskie)— było zupełnie zbytecznym błędem. Bombardowanie nastąpiło na żądanie nowozelandzkiego generała Freyberga.

Niezależnie od kontrowersji, jakie ta książka wzbudziła także wśród Polaków, warto zanotować niektóre fakty:

„...Fakt, że popełniliśmy tragiczny błąd, bombardując historyczny katolicki klasztor benedyktyński Monte Cassino, nie umniejsza osiągnięć żołnierzy i lotników alianckich" — pisze Mark Clark.

Jak się obecnie okazuje w owym czasie nie było żadnych dowodów, że Niemcy używają klasztoru do celów wojskowych. Obecnie są niezbite dowody, że z wyjątkiem emisariuszy niemieckich opiekujących się rannymi i chorymi, i obserwatorów — żaden żołnierz niemiecki nie wkroczył do klasztoru przed jego zbombardowaniem.

Z różnych źródeł ustalił później gen. Mark Clark przebieg wypadków po zbombardowaniu wykonanym przez 255 bombowców przy użyciu 576 ton materiałów wybuch. M. in. autor opiera się na zeznaniach gen. Fritza Wentzella, dowódcy 10 armii niemieckiej, który oświadczył, że zbombardowanie klasztoru nie spowodowało żadnych strat dla wojsk niemieckich, gdyż nie stały one w obrębie opactwa. Po zbombardowaniu natomiast użyto natychmiast ruin do dalszej obrony. Gdy artyleria aliancka dokończyła dzieła zniszczenia, dnia 16 lutego 1944, opat Monte Cassino, trzymając w ręku wielki krucyfiks, opuścił siedzibę opactwa z resztką pozostałych przy życiu zakonników. Wkrótce propaganda niemiecka ogłosiła prawdziwe oświadczenie przeora, że Niemcy nie korzystali z klasztoru dla celów obronnych. Dopiero po tym fakcie spadochroniarze niemieccy wkroczyli do ruin i zorganizowali tam punkty oporu.

CZASOPISMA

Ukazał się w sprzedaży numer 10 (36) paryskiego miesięcznika „Kultura", zawierający m. in. artykuły: Z. Jordana „O rządzie światowym", Michała Sambora „Coś dobrego o Sowietach", J. Czapskiego „Malowane życie, malowana śmierć", studium J. Zadeykańskiego o Adolfie Nowaczyńskim (budzące poważne wątpliwości). Prócz tego numer zawiera w dziale „Oficyna poetów i malarzy" utwory M. Czuchnowskiego, J. Żywiny, M. Łysakowskiego, J. Kucharskiego i C. Bednarczyka; w dziale „Najnowsza Historia Polski" — szkic J. Hoffmana „O początkach konspiracji na Wołyniu" i bardzo ciekawe głosy w dyskusji o NSZ. Omówienie ankiety „Na jakie cele kulturalne obrócić fundusze Skarbu Narodowego", Kronika Kulturalna (odważny artykuł J. Kowalewskiego o teatrze emigracyjnym) i recenzje książek uzupełniają ten 160 stronicowy numer, którego cena wynosi 3 s.

PLASTYKA

Stowarzyszenie Architektów R.P. oraz Związek Polskich Artystów Plastyków ogłosiły na zlecenie Naczelnej Rady Odbudowy Warszawy konkurs architektoniczno-rzeźbiarski na projekt pomnika Fryderyka Chopina w warszawskim Parku Łazienkowskim. Przewiduje się 5 nagród w wysokości od 1 miliona do 600.000 zł.

MUZYKA

Nakładem Polskiego Towarzystwa Muzycznego w Krakowie ukazał się tom I. śpiewnika krajoznawczego pt. „Od Tatr do Bałtyku" w opracowaniu prof. A. Chybińskiego. Zawiera on 218 wybranych polskich melodii ludowych.

FILM

W „Palace Theatre" odbyła się ostatnio premiera wyprodukowanego przez katolicki angielski Instytut Filmowy filmu pt. „Pilgrimage to Fátima", którego przedmiotem są objawienia N. Marii Panny w tej miejscowości portugalskiej.Pokazy tego filmu odbywają się o g. 8 wiecz. w „Hammer Theatre", Wardour Street i będą się odbywać w dniach od 13 do 17 listopada włącznie i od 20 do 24 listopada włącznie. Wstęp bezpłatny, ale przy wejściu zbierane będą dobrowolne datki na pokrycie kosztów filmu.

W londyńskim kinie „Rialto" przy ul. Coventry idzie obecnie arcydzieło Charle Chaplina, wyprodukowane przed 19 laty „Światła wielkiego miasta" („City lights"). Film pokazano w postaci niezmienionej, to jest bez elementów mówionych, rozszerzając tylko nieznacznie ilustrację muzyczno-dźwiękową. Każdy miłośnik filmu powinien obejrzeć ten film, którego analiza uczy więcej niż tomy podręczników filmowych. „Światła wielkiego miasta" będą wyświetlane w tańszych kinach i na prowincji.

Z LISTÓW DO REDAKCJI

O DEMOKRACJACH CHRZEŚCIJAŃSKICH

Szanowny Panie Redaktorze!

P. Franciszek Berka, nawiązując do mego artykułu o rewolucji belgijskiej (ŻYCIE z dn. 10.9.50), wystąpił z listem „W obronie demokracyj chrześcijańskich" (ŻYCIE z dnia 24. 9. 50).

Nie jest moim zamiarem podejmowanie sporów, które by siały bezpłodne rozdźwięki. Uważam jednak, że żyjemy w czasach takich, iż konieczną jest rzeczą zastanawianie się w sposób rzetelny i odważny nad drogami, po których powinniśmy kroczyć, lub których winniśmy unikać. Rozumiem dobrze. że p. Berka broni kierunku, do którego należy. Nie sądzę jednak, by wzajemna kurtuazja między różnymi kierunkami miała nakazywać powstrzymywanie się od rozważań, na łamach prasy katolickiej, na temat słuszności lub niesłuszności postawy politycznej, przez różne kierunki katolickie zajmowanej.

Odpowiadając p. Berce, nie będę powtarzać uwag, jakie już zamieściłem w mej broszurze „Nacjonalizm chrześcijański". Zamiast szczegółowych wywodów, przytoczę treść rozmowy, jaką kiedyś miałem z pewnym francuskim księdzem, o chrześcijańsko - społecznych sympatiach.

— Spodziewacie się, że ile trzeba czasu, by władza polityczna we Francji wróciła trwale w ręce katolików?

— My wcale do tego nie zmierzamy, by władza polityczna w państwie była w ręku katolików. Wcale nam o to nie chodzi. Nam wystarcza tolerancja. My stwarzamy katolickie szkolnictwo prywatne, my przetwarzamy Francję akcją społeczną. Wcale nie chcemy katolickich szkół państwowych, ani nadawania państwu cechy katolickiej, co byłoby tylko złudzeniem i kłamstwem, a nawet formą totalizmu! Chcemy wolności, a nie władzy dla katolików.

— A myślicie, że na dalszą metę wolność dla katolików jest możliwa bez władzy? że władza w ręku niekatolików nie pozbawi was wolności, nie zabierze wam waszych prywatnych szkół, nie pokonfiskuje waszych składek, instytucyj i fundacyj, jako „dóbr martwej ręki", nie zamknie wam kościołów siłą, nie wtłoczy waszych dzieci, sowiecką albo hitlerowską metodą, w system antykatolickiego wychowania?

Po prostu nie umiał mojej odpowiedzi zrozumieć. Nie miał komórek w mózgu dla pełnego uzmysłowienia sobie, jak może w całej pełni wyglądać antyreligijna nietolerancja — o ile się do niej swoją biernością dopuści.

Może to przykład jaskrawy— ale rozmowa ta daje, choćby w skrajnej i wyjątkowej formie, pojęcie o tym, do czego doprowadzić może mentalność. skoncentrowana zbyt jednostronnie na akcji społecznej i nie doceniająca wagi walki politycznej. Ruchy chrześcijańsko - społeczne robią robotę pożyteczną. Ale są jednostronne. I nie widzą tego, że katolicy muszą walczyć na arenie politycznej czasem w sposób bezkompromisowy i twardy. Czasy przeżywamy dzisiaj groźne. Świat katolicki potrzebuje dziś polityków w stylu epoki krucjat, czy epoki kontrreformacji, a nie w stylu Gil Roblesa.

P. Berka odpiera zarzut miękkości, chwiejności i naiwności ruchów chrześcijańsko - społecznych, wysuwając jako argument trzy nazwiska: De Gasperiego, Korfantego i Schumana. Bardzo to ciekawe zestawienie nazwisk. Właśnie tych trzech ludzi łączy pewna cecha wspólna, która nasuwa wątpliwość, czy można ich uważać za typowy produkt chrześcijańsko - społecznej szkoły myślenia i akcji.

Kimże oni są? De Gasperi, triesteńczyk, czy też trydentyńczyk, jest dawnym posłem do parlamentu austriackigeo w Wiedniu. Cóż on w tym parlamencie reprezentował? Czy ruch chrześcijańsko-społeczny w monarchii Habsburgów? Nie. On w nim reprezentował dążenia narodowe irredenty włoskiej.

Korfanty wystąpił na arenę polityczną — z inicjatywy Dmowskiego — jako reprezentant nacjonalizmu polskiego na Śląsku, walczącego z niemiecką chadecją. Przed Korfantym niemieckie, katolickie Centrum reprezentowało politycznie polski Śląsk. Korfanty to obalił. Korfanty wyrósł politycznie nie w akcji społecznej, lecz w walce narodowej, — walce zaczętej burzliwą, antychadecką kampanią wyborczą, a zakończonej powstaniem. Korfanty — to typowy katolik-nacjonalista.

Schuman jest Alzatczykiem. Wyrósł pod niemieckim uciskiem, w walce narodowej o wolność Alzacji.

Właśnie na tych trzech ludzi powołuje się p. Berka jako na dowód, że w szkole chrześcijańsko-społecznej rodzą się mężowie stanu nie tylko w rodzaju Gil Roblesa. Czy naprawdę w tej szkole? Czy wysunięcie się tych trzech ludzi na czoło nie jest właśnie dowodem, że szkoła chrześcijańsko-społeczna, sama w sobie, zalet politycznych nie wyrabia?

Cała zresztą „chadecja" włoska, mimo nazwy, nie jest typowym ugrupowaniem chrześcijańsko-społecznym. Jest to ruch umiarkowanie prawicowy, republikański, narodowy, katolicki, który narodził się na politycznej pustyni, pozostawionej przez faszyzm i skupił zdrowe siły włoskiego narodu. Typowym ruchem chrześcijańsko-społecznym byli dawni „popolari", — dzisiejsza „chadecja" nie jest z nimi wcale identyczna.

Co zaś do francuskiego M.R.P. — to poczekajmy jeszcze, co ono zdziała. Obawiam się, że wypadki gotowe zmieść je kiedyś tak, jak zmiotły Gil Roblesa w Hiszpanii. Narazie, w ciągu sześciu już lat życia Francji powojennej, M.R.P. nie pokazało nam jeszcze nic prócz oportunizmu, naiwnych prób „appeasementu" z Rosją i rozglądania się za tym, kto się będzie bić za Francuzów (zamiast, żeby się za siebie bili sami). Jak dotąd, M.R.P. bynajmniej nie okazuje się w życiu Francji czynnikiem, rozumiejącym powagę sytuacji i pracującym — mężnie i z poczuciem odpowiedzialności — nad przeprowadzeniem nawy narodowej francuskiej przez groźną burzę dziejową, jaką dzisiejsza generacja przeżywa. Nawet p. Schuman — choć stokroć lepszy np. od p. Bidault —jak dotąd, żadnych cudów nie dokazał. „Plan Schumana" przysparza w świecie sławy jego nazwisku, ale jego, jak p. Berka pisze, śmiałe koncepcje polityczne jeszcze wcale egzaminu skuteczności nie zdały.

Co zaś do Belgii — to powtarzam jeszcze raz, że wcale nie to zarzucam belgijskim politykom katolickim, że zrobili kompromis, ale to, że go najpierw zrobić nie chcieli, a potem zrobili go pod naciskiem ulicy. Świadczy to, że naiwnie ocenili sytuację, że nie docenili tego, co komuniści wraz z socjalistami zrobić potrafią, że porwali się na politykę, której konsekwentnie wykonać do końca nie umieli. Jeśli kompromis był konieczny, czy wskazany — należało zrobić go od razu. Ale okazywać upór, a potem cofać się przed ciskanymi przez motłoch kamieniami — to jest tylko dawanie temu motłochowi poczucia siły i budzenie w nim chętki do bezprawia. Belgia nie została po kryzysie taka, jaka była. Zrobiła się dużo, dużo słabsza. (I uwaga nawiasowa: nie mówmy, że Waloni nie chcieli Leopolda. Nie chciały go prowincje Liège i Hainaut, — te właśnie dwie prowincje, w których przebywa 80% wszystkich belgijskich komunistów. Natomiast walońskie prowincje Namur i Luxembourg głosowały w większości przeciw abdykacji).

A wreszcie na zakończenie jedna zdziwiona uwaga. Co znaczą te zwroty o „masach biednych robotników, ginących z głodu przy wtórze dewocyjnej paplaniny". o „nienawiści i szowinizmie" itd. Przeciwko czemu się to zwraca? Czy przeciwko moim argumentom? — Niebardzo rozumiem,

Z poważaniem

Jędrzej Giertych

NOWE FILMY

»SZKLANA MENAŻERIA« (The Glass Menagerie)

Kino: Warner Theatre. *Produkcja:* Ch. K. Feldman Group (ameryk.). *Scenariusz:* ze sztuki Tennessee Williamsa, opracowany przez autora i Peter Berneisa. *Reżyser:* Irving Rapper.

W BARDZO skromnym, jak na stosunki amerykańskie, mieszkaniu w St. Louis żyje własnym życiem nieszczęśliwa rodzina, złożona z gadatliwej, arbitralnej, niezbyt mądrze, bo konwencjonalnie kochającej swe dzieci wdowy, syna — robotnika, marzącego o karierze marynarskiej i córki — kaleki, niezdolnej do praktycznych sukcesów, nieśmiałej, interesującej się tylko dziwaczną kolekcją szklanych zwierzątek. Matka marzy o wydaniu za mąż biednej Laury. Namawia syna, aby zaprosił do domu któregoś ze swych kolegów. Zapowiedzianą wizytę Jima (Kirk Douglas) przygotowuje i reżyseruje z nieco naiwną chytrością. Niestety — okazuje się, że Jim. który znał Laurę już dawniej, jest zaręczony i nie zamierza podtrzymywać towarzyskich stosunków z Laurą. W czasie krótkiej wizyty udaje mu się jednak (ku zdumieniu każdego specjalisty, a nawet człowieka tylko lekko otrzaskanego z psychoterapią) rozwiązać kompleks niższości kulawej dziewczyny, nakłonić ją do popisu tanecznego w sąsiednim dancingu i zapewnić filmowi na siłę mało prawdopodobny *happy end:* boy-frienda, względnie kandydata do małżeństwa.

Tę nikłą tematycznie, ale bogatą w ludzkie i serdeczne akcenty treść sztuki T. Williamsa przetransponowano na taśmę filmową, pozostawiając względną jedność miejsca i czasu (prawie wszystko odbywa się w mieszkaniu rodziny Laury) i tylko pesymistyczne, beznadziejne rozczarowanie, jakim kończy się sztuka teatralna zmieniając na płytki sukces erotyczno-matrymonialny nieszczęśliwej bohaterki. Filmowi dano doskonałą obsadę: Laura w interpretacji laureatki jednego z „Oskarów" Jane Wyman jest postacią wzruszającą, kłótliwą matkę gra bardzo dobra aktorka Gertrude Lawrence, a prawdopodobną, bardzo sympatyczną postać brata kulawej dziewczyny stworzył Arthur Kennedy.

*

„Szklana menażeria" jest niewątpliwie dziełem sztuki, ale nie sztuki filmowej, lecz teatralnej. Autor „A Streetcar Named Desire", szeroko omawianego i cieszącego się powodzeniem obrazu scenicznego, jest pisarzem utalentowanym. W omawianym dziele dał dużo: wyraźnie nakreślił charaktery, pokazał problem upośledzenia i obcości człowieka; potrafił zasugerować widza przekonaniem, że wyjściem z kompleksu niższości jest zrozumienie pewnych praw psychologii, do czego dochodzi się przez ludzką życzliwość, będącą jedną z form miłości bliźniego. Pokazał w swej sztuce tak wiele, że można mu wybaczyć symplifikowanie procesu leczniczego, który w rzeczywistości nie jest tak prosty i krótki, jak to widzimy na filmie.

Biorąc to wszystko pod uwagę, można z zadowoleniem powitać film tego rodzaju. Prawdziwy jednak miłośnik sztuki filmowej, poszukujący na różnych przykładach elementów języka filmowego — owej *differentia specifica*, odróżniającej film od wszystkich innych rodzajów twórczości artystycznej, musi sobie jasno uświadomić, że mamy tu do czynienia z artystycznym nieporozumieniem: z wtargnięciem nurtu teatralnego w dziedzinę kina. W teatrze bohaterowie charakteryzują się więcej słowami niż własnym działaniem. W sztuce scenicznej, z natury ograniczonej możliwościami technicznymi, mamy sztuczną kondensację miejsca, a zazwyczaj i czasu. Inaczej w filmie. Ten jest sztuką potężniejszą, mniej skrępowaną, bardziej zbliżoną do życia, z jego olbrzymim bogactwem działań, faktów, ruchu, zmienności w czasie i przestrzeni. Dlatego — jak to udowadniają dobitnie wznawiane jeszcze teraz arcydzieła Chaplina — słowo w filmie odgrywa rolę podrzędną. Przekroczenie pewnej miary dialogu irytuje tu, stwarza sugestię sztucznośąi, zabija rytm i tempo; natomiast nawet zupełne zaniechanie słowa (jak w chaplinowskich „Światłach wielkiego miasta", czy w „Kapeluszu słomkowym" R. Claire'a) nie odbiera dziełu filmowemu siły wyrazu. To warto sobie zapamiętać na marginesie sfilmowania obrazu scenicznego „Szklana menażeria".

St. Pał.

NA MARGINESIE

CZTERY CELE

OPERACJĘ, która z rozkazu Moskwy dokonana została na zdewaluowanym złotym polskim mylnie w prasie zagranicznej („Times") nazwano rewaluacją złotego. Zrównanie z rublem pozwoli przede wszystkim ukryć skutki dalszych nieuchronnych procesów inflacyjnych. Jest to pierwszy cel zabiegu, który z jednej strony polega na zwyczajnym przerachowaniu złotego i wymianie banknotów, z drugiej na fikcji ustalenia jakoby stosunku nowego złotego do złota. Złoto stanęło już na baczność w określonej ukazem zawartości wobec rubla, złoty polski zrównany został z rublem, ergo niech każdy wierzy, że jest w nim 0.222168 grama czystego złota. Cena złota i dolara, za których ukrywanie wyznaczono karę śmierci, wskazywać będzie ile w tym prawdy.

Ta pseudo - reforma walutowa przez wprowadzenie dwóch kursów uprzywilejowanego i karalnego a też kontroli banknotów przy wymianie, osiąga cel drugi, polegający na zabiegu wybitnie deflacyjnym, a więc wstrzymującym na jakiś czas wzrost cen. Stracone złoto w wypadkach karalnego kursu wymiany, jak również te banknoty, które nie zostaną przedstawione do wymiany w obawie dochodzeń, wypadną z obiegu.

Trzeci cel to dalsze scalenie gospodarcze Związku Sowieckiego z państwami satelickimi, a w każdym razie z Polską dla przyspieszenia procesu wyrównywania poziomu płac i cen. Jest jeszcze cel czwarty, reżym zdobywa nowy instrument dla dalszej pauperyzacji opornego włościaństwa i dla wymierzenia dogorywającej „inicjatywie prywatnej" śmiertelnego ciosu.

WINA KOLUMBA

GENUA święciła w październiku pięćsetletnią rocznicę urodzin Krzysztofa Kolumba. Tak uroczyście obchodzić powinniby urodziny wielkiego podróżnika Hiszpanie, a więc ci, którzy polityczne odkrycie Ameryki wykorzystali, tym niemniej Genua dumna jest ze swego syna. Ponieważ 75 proc. biorących udział w głosowaniu genueńczyków oddało swe głosy na listę komunistyczną, nie trzeba się dziwić, że mury miasta pokryte są obok plakatów z wizerunkiem smętnego Kolumba afiszami wzywającymi do powszechnego strajku.

Uroczystościom pięćsetlecia specjalnego blasku miała dodać obecność prezydenta republiki włoskiej prof. Einaudi, w ostatniej jednak chwili nadeszła wiadomość, że prezydent nie przyjedzie. Chodziło mu o zamanifestowanie w ten sposób swego niezadowolenia. Okazało się bowiem, że burmistrz Genui prof. Adamoli nie zaprosił na uroczystość amerykańskiego ambasadora p. Dunn'a.

Genueńscy komuniści dumni są z rodaka, ale mają żal do niego, że odkrył ojczyznę wrogów Stalina!

JEDNOMYŚLNOŚĆ

OPOWIADAJĄ taką anegdotkę kursującą w Polsce:

Na granicy nad Odrą w Słubicach stoi dwóch strażników polskich i w milczącej zadumie spoglądają ku zachodowi. Po pewnym czasie jeden z nich pyta:

— O czym pan myśli?

— Hm, o tym samym co i pan— odpowiada drugi.

— A, to niestety muszę pana aresztować — kończy rozmowę pierwszy.

X. Y. Z.

KTO z CZYTELNIKÓW?

Ksiądz - misjonarz polski w Indiach prosi o ofiarowanie mu następujących książek:

Mariański: SŁOWNIK POLSKO-HISZPAŃSKI i HISZPAŃSKO-POLSKI,

Hammel: SŁOWNIK POLSKO-FRANCUSKI i FRANCUSKO-POLSKI.

Kto z naszych Czytelników mógłby któryś z tych słowników ofiarować, zechce łaskawie zawiadomić naszą Redakcję,

12, Praed Mews, London W. 2.

NOTATKI

STYPENDYŚCI POLSCY

OD 4 lat istnieje w Madrycie Kolegium Uniwersyteckie pod wezwaniem św. Jakuba Apostoła (po hiszp.: de Santiago Apostol), patrona Hiszpanii, przeznaczone dla słuchaczy wyższych zakładów naukowych, którzy pochodzą z krajów zza żelaznej kurtyny. Tę szlachetną inicjatywę utworzenia takiego ośrodka, podjęła Katolicka Organizacja Pomocy Uniwersyteckiej („Organizacion Católica de Asistencia Universitaria"), której przewodniczący, wybitny działacz katolicki, prof. Otero, całkowicie się temu dziełu poświęcił. Istytucja ta spotkała się z żywym zainteresowaniem społeczeństwa i czynnym poparciem urzędowych czynników hiszpańskich, jak Ministra Spraw Zagranicznych, oraz hierarchii kościelnej z Kardynałem Prymasem na czele.

Kolegium posiada własny gmach, gdzie studenci, w dogodnych warunkach, mają zapewnione utrzymanie, pomoce naukowe, itp., mogą studiować zależnie od swoich zdolności i upodobań.

Na stukilkudziesięciu stypendystów, najliczniejszą jest grupa polska, licząca trzydziestu paru studentów. Założyli oni swój „Związek Akademików Polaków w Hiszpanii", którego prezesem jest p. Stefan Żywczak.

Charakterystycznym rysem współżycia studentów różnych narodowości jest wzajemne zrozumienie i przyjazne ustosunkowanie się.

Kolegium św. Jakuba Apostoła stanowi jeszcze jeden widomy znak zainteresowania się Hiszpanii sprawami Wschodu europejskiego, dowodem, że Hiszpanie nie poprzestali na słowach tylko, lecz — mimo własnych trudności ekonomicznych — potrafili zdobyć się na piękny czyn.

KONGRES WSPÓŁPRACY INTELEKTUALNEJ

OD 1 do 12 ub. m. odbył się w Madrycie międzynarodowy Kongres Współpracy Intelektualnej, zorganizowany przez ruchliwy Instytut Kultury Hiszpańskiej. W Kongresie tym wzięło udział dwustu delegatów, reprezentujących 25 państw. Wśród zaproszonych znajdowali się także przedstawiciele krajów za żelazną kurtyną, w tym dwóch Polaków: prof. A. Deryng i min. M. Szumlakowski.

Wartość tego Zjazdu międzynarodowego polegała na wymianie myśli i poglądów między intelektualistami europejskimi i amerykańskimi, pośród których przeważali delegaci Ameryki łacińskiej. Głównymi tematami dyskusji były tak aktualne zagadnienia, jak „Idea Europy", „Idea Ameryki" oraz „Misja hiszpańsko-amerykańska", niezależnie od spraw natury technicznej i organizacyjnej.

W rezultacie zdecydowano utworzenie nowej istytucji „B i u r a W s p ó ł p r a c y I n t e l e k t u a l n e j", które ma się zająć wykonaniem uchwał Kongresu i wprowadzeniem ich w życie.

WEEKEND VERITASU

W DNIACH 21 i 22 u.m. odbył się kolejny weekend Veritas, poświęcony Wniebowzięciu. Na program złożyły się trzy referaty: X.Tadeusz Kirschke mówił o „Dogmatach" w ogóle; X. Dr. Józef Warszawski T.J. przedstawiał „Pojęcie dogmatu Wniebowzięcia", a X. Józef Jarzębowski, Marianin, zarysował w szerokich liniach rozwój „Kultu N. M. Panny". Pierwszy i trzeci referat będą drukowane w ŻYCIU, dla tego nie będziemy ich tu omawiać.

Ojciec Warszawski ujął swój referat jako przedstawienie świadectw wiary w fakt Wniebowzięcia przez całych 20 wieków chrześcijaństwa. Cofając się od 20. i 19. wieku, referent wspomniał najwybitniejsze nazwiska mariologiczne. Szkoda wielka, że nie usłyszeliśmy tu niemal nic o polskich świadectwach wiary we Wniebowzięcie, tak licznych — począwszy od wezwań kościołów i dzieł sztuki a na kazaniach i specjalnych traktatach skończywszy. Przy omawianiu świadectw mariologów europejskich uderzał m.i. zwłaszcza brak św. Bernardyna ze Sjeny, którego 500 lecie kanonizacji w tym roku obchodziliśmy. Mówiąc o Wniebowzięciu, nie sposób wprost nie wspomnieć „Doktora Wniebowzięcia", jak teologowie nazywają św. Bernardyna, tak jak mówiąc np. o rozwoju tomizmu, nie możemy nie uwzględnić św. Tomasza. Teologowie twierdzą, że jego siedem głównych argumentów za Wniebowzięciem wyczerpuje wszystko, co o tym przywileju Marii da się powiedzieć, a wszystkie inne dowody są jedynie kombinacją jego argumentacji. Św. Bernardyn opierał się także na św. Janie Damasceńskim, św. Ambrożym i św. Augustynie. Żałowaliśmy także, że tak mało usłyszeliśmy o podstawach teologicznych tej wiary jak i o konsekwencjach teologicznych i filozoficznych, wynikających z ogłoszenia dogmatem wiary w fakt Wniebowzięcia.

Weekend ten skupił największą z wszystkich dotychczasowych ilość słuchaczy. Dyskusja była bardzo ożywiona.

jt

* * *

DZIEŃ MŁODYCH w FAIRFORD

Dnia 19 listopada, w niedzielę, odbędzie się pierwszy zjazd dorosłej i dorastającej młodzieży w Fairford.

Rozpocznie się o g. 10 uroczystą Mszą św., celebrowaną przez miejscowego proboszcza ks. L. Czapskiego. Urozmaicony program wypełni dzień cały. Wieczorem zebranie towarzyskie z tańcami. Koniec o g. 9 .Wstęp wolny.

Celem Zjazdu jest wzajemne zapoznanie się i zbliżenie młodzieży polskiej, rozproszonej w terenie. Komitet Organizacyjny zaprasza przeto okoliczną młodzież do wzięcia jak najliczniejszego udziału w Zjeździe. Z uwagi na przygotowanie taniego bufetu dla gości, należy nadsyłać zgłoszenia uczestnictwa na ręce członka Kom. Organ., **p. J. Kapicy, Pol. Hostel Fairford, nr Cirencester, Glos.**

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

WPŁYW POWIEŚCI AMERYKAŃSKIEJ

„Times Literary Supplement" w artykule wstępnym podkreśla niewątpliwy wpływ, jaki powieściopisarze amerykańscy wywierali na swych brytyjskich konfratrów w okresie lat 1930—1940. Twórczość amerykańska była „galwanicznym wstrząsem dla pisarzy brytyjskich, na których zbyt długo spoczywała martwa ręka Aldousa Huxleya. Oszołomieni bezsensowną retoryką Lawrence'a z jego późniejszego okresu, ogłuszeni wolimi porykami Wyndhama Lewisa, albo też, przeciwnie, omdlewający w letargu „Bloomsbury culture", młodzi ludzie przebudzili się ze swego odrętwienia pod wpływem wrzawy nowych głosów, dochodzącej nie zza Atlantyku, lecz zza Kanału, większość bowiem tych głosów pochodziła od Amerykanów zamieszkałych w Paryżu... Narracja uległa przyśpieszeniu, zredukowana została przez kinematograficzne cięcia; dialog stał się urywany i krótki, jak gdyby wychodził z kącików ust bohaterów powieści; pojawiły się ustępy, drukowane kursywą, rzucające błysk światła na przeszłość głównej osoby. Wielu pisarzy odkryło przy tym nagły talent do pisania swych opowieści w pierwszej osobie liczby pojedyńczej".

Ten nowy wpływ objawił się głównie w dziedzinie stylistycznej, choć paru skrajnych ryzykantów próbowało przeszczepić „atmosferę transatlantycką" do codziennego życia w Anglii. Wielu młodych pisarzy wstąpiło w tym czasie do Partii komunistycznej, w rezultacie czego twórczość ich stopniowo sprowadziła się do pisania fikcyjnych reportaży z zebrań partyjnych.

Po wybuchu drugiej wojny światowej wpływ pisarzy amerykańskich w szybkim tempie rozwiał się. Przyszło nowe, spokojniejsze pokolenie pisarzy „produkujących tydzień po tygodniu rzeczowe relacje o nawróceniach religijnych, niezgrabnie pisane imitacje Franza Kafki, albo też gorączkowe opowieści o ludziach za czymś goniących, z symbolicznymi implikacjami, na modłę Grahama Greene'a, ale robiące wrażenie nieświadomych parodii mistrzów".

W Stanach Zjednoczonych krajobraz literacki też uległ zmianie i przypomina dziś ugory. Podobnie jak w Anglii dominuje, nawet wśród mężczyzn, kobieca „wrażliwość", w związku zaś z tym niefortunna skłonność do zajmowania się stronami psychopatycznymi, a z drugiej strony tendencja do poświęcania szczególnej uwagi bolączkom społecznym. Za przykłady takich powieści służyć mogą: Normana Mailera „The Naked and the Dead", Paula Bowlesa „The Sheltering Sky", Edwarda Newhouse'a „Hollow of the Wave". Pisarze tej kategorii nie są zdecydowani, jakie stanowisko zająć wobec komunizmu; niektórzy robią co mogą ze szkodą dla swej twórczości, by „siedzieć okrakiem na obu stronach płotu".

Autor artykułu omawia następnie dwa amerykańskie utwory powieściowe, które właśnie ukazały się w nowych wydaniach angielskich, nakładem firmy Lehmanna. Pierwszy to gigantyczna trylogia Johna Dos Passos pt. „U. S. A." obejmująca trzy powieści: „The 42nd Parallel", „Ninteen-Ninteen" i „The Big Money". W trylogii tej Dos Passos usiłuje scharakteryzować amerykańską „way of life" w czasie pierwszej wojny światowej" i po tej wojnie, przez wprowadzenie szeregu postaci, reprezentujących różne typy społeczne Stanów Zjednoczonych. Drugim z omawianych utworów powieściowych jest „Pylon" Williama Faulknera, ponura opowieść o skrajnej rozpaczy i poniżeniu. Nawiasowo autor artykułu zauważa, że w niektórych powieściach Faulknera widoczny jest wpływ Henry Jamesa i Conrada.

Oba te utwory: Dos Passosa i Faulknera należą do dawniejszego, przedwojennego okresu powieści amerykańskiej. Powieść ta — zdaniem autora — wywiera obecnie z kolei duży wpływ na twórczość francuską. Tak np. Sartre podjął pisanie swej niedokończonej jeszcze trylogii „Les chemins de la liberté" niewątpliwie pod wpływem „U. S. A." Dos Passosa.

AUTOBIOGRAFIA BIERDIAJEWA

W tych dniach nakładem firmy Geoffrey Bles ukazała się autobiografia zmarłego parę lat temu na emigracji myśliciela i pisarza rosyjskiego M. Bierdiajewa („Dream and Reality", cena 30 s.). Swego czasu duży rozgłos miała jego książ-
cza.
żka, broniąca wartości średniowie-

POWODZENIE SZTUKI VAL GIEŁGUDA

Sztuka Val Giełguda „Party Manners", wycofana w znanych okolicznościach z programu telewizyjnego BBC, wystawiana jest od 31 października w londyńskim Princes Theatre. Poprzednio już sztuka ta grana była w innym teatrze, ciesząc się dużym powodzeniem.

WYSTAWA RZEŹB WŁOSKICH

W Instytucie Włoskim (39, Belgrave Square, S. W. 1) odbywa się wystawa współczesnej rzeźby włoskiej (Marini, Manzu i inni). Wystawa otwarta jest do 15 listopada w godzinach 11 — 8, w soboty od 11 — 6, w niedziele od 2 — 5. Wstęp 1/6.

„Society of Marine Artists", tj. Towarzystwo Marynistów Angielskich", otwarło swą piątą wystawę w londyńskim Guildhallu. Godziny otwarcia: codziennie od 2 - 5.

KSIĄŻKA O CHOPINIE DLA DZIECI

Nakładem firmy Faber & Faber (której dyrektorem jest znany pisarz i poeta, T. S. Eliot), ukazała się książka dla dzieci pt. „F r e d e r i c C h o p i n, S o n o f P o l a n d: L a t e r Y e a r s", pióra Opal Wheelera. Jest to nowy tom w „The Great Musicians Series", ilustrowanej przez Christine Price. Cena 9/6.

„HELENA" E. WAUGH

„The Tablet" zamieścił recenzję Christophera Sykes'a o ostatniej powieści Evelyn'a Waugh „Helena". rozpatrując utwór z punktu widzenia zarysowania postaci, miejsca akcji i czasu, autor recenzji dochodzi do wniosku, że Waugh w swej „fascynującej książce" spełnił całkowicie wymagania dotyczące dwóch pierwszych punktów, zawiódł natomiast częściowo w trzecim. Zdaniem Sykes'a (niezupełnie podzielanym przez innych krytyków. których opinie już strzeszczaliśmy) autor „Heleny" stworzył poprawne charaktery wszystkich głównych postaci książki, choć nie wzniósł się w „Helenie" ponad poziom dotychczasowych powieści. Miejsce akcji — imperium rzymskie — opisał Waugh bardzo ascetycznie, bez wszelkiej ornamentacji, dając szereg obrazów bardziej ambitnych niż w poprzedniej twórczości. Obrazy te po prostu skaczą do oczu czytelnika swą wielką wyrazistością, dzieje się to jednak kosztem powikłania elementów czasu. Zwłaszcza partie środkowe książki robią wrażenie gwałtownego wyścigu lat i miesięcy, odbywającego się na torach nie nadających się do takiego pośpiechu. Mimo to opisy poszczególnych okresów i miejsc są godne podziwu. Do takich miejsc zalicza krytyk spotkanie Heleny z mistycznym heretykiem Marcjasem i charakterystykę krańcowych nastrojów i szamotań się cesarza Konstantyna, jak również końcowe epizody w Palestynie, choć występujący w zakończeniu powieści świątobliwy biskup Macarius obdarzony został przez autora (jak przypuszcza Sykes, przypadkowo) poglądami heretyckimi.

„Catholic Herald" zamieścił o „Helenie" konwencjonalną, pochwalną, ale nic nie mówiącą recenzję.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: **Veritas Foundation Publication Centre.** Adres redakcji i Administracji: **Polish Weekly, ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W. 2.** Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17** — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. **Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca.** W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. **Prenumerata** płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty** przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi **„crossed"**, wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. **CENY OGŁOSZEŃ:** 1 cal przez 1 łam £ 1; **w tekście** 50% drożej, na stronie **tytułowej** 100% drożej. **Prenumerata zagraniczna:** SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: Mgr. KUROWSKI. Anggatan 6 c. Lund. Sverige. Sweden. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 DM. ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI. Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: PKSU VERITAS, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2. USA: kwartalnie pocztą zwykłą 2 dol.; pocztą lotniczą — 5 dol. Przedstawiciel: A. Stojanowski, 36, Dearborn Ave, Rye, N.Y.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734